W numerze: Poznajcie bohaterską historię swego miasta ● JAN WAWRZYŃCZYK **75 lat ruchu ludowego** ● JERZY WILMAŃSKI **Ludzie spod znaku płomienia wiedzy** ● **Twórczość łódzkich nauczycieli** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Nowela kryminalna**

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁÓDŹ

21. VI. 1970 r.
25 (657)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

KAROL BADZIAK

PLAGI XX wieku

Nie mogę powiedzieć, żebym tym tematem wkraczał na dziewiczy teren publicystyki polskiej. Ukazało się w ostatnim okresie mnóstwo publikacji dotyczących zagrożenia ludzkiego zdrowia przez współczesną cywilizację. Jak zwykle w takich wypadkach napisano również sporo rzeczy bałamutnych. Ledwo zaczęliśmy uprzemysławiać nasz kraj, a już się dowiadujemy, że industrializacja niesie ze sobą nie tylko wdzięk postępu, ale niszczy także przyrodę. Jeszcze kilka lat temu władze lokalne biły się w Warszawie o lokalizację na swoim terenie co tłustszych inwestycji przemysłowych, a obecnie zaczynają się już gdzieniegdzie przed tym bronić.

Czy rzeczywiście uboczne skutki rozwoju przemysłu są tak poważne, że zakłócają równowagę rozwoju biologicznego? Wiele, niestety, jest na to dowodów, że faktycznie naturalne środowisko, w którym człowiek żył od tysięcy lat zaczyna ulegać dewastacji. Kiedyś człowiek najlepiej czuł się w lesie, a jednak zaczął las karczować. W ciągu tysiąca lat naszej historii zniszczyliśmy 79 procent lasów. W 1945 roku było w Polsce zaledwie 21 procent terenów lesistych. Średnia w Europie wynosiła i wynosi dotychczas 29 procent. Zaczęliśmy więc proces odwrotny — zalesianie. Dzięki temu w ciągu 25 lat obszar lasów wzrósł o 6 procent. Ale na skutek rozwoju przemysłu nastąpiło takie zagrożenie lasu, że ten przyrost możemy utracić w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Już w tej chwili 240 tysięcy hektarów, czyli około 3 procent lasów, jest zniszczonych.

Tak więc konflikt z płaszczyzny leśnictwo-rolnictwo przeniósł się na leśnictwo-przemysł.

Oczywiście, istnieje wiele elementów, które zagrażają ludzkiemu zdrowiu i samopoczuciu, lecz brak lasów jest z nich najpoważniejszy. Jeśli mówimy o ochronie przyrody, to mamy na myśli przede wszystkim ochronę lasów, potem idzie woda, powietrze, cisza, światło itp. Las

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Poniatoszczak i psy

Reportaż buffo

NISKI, rudy, o zapadłych bokach i krótkiej, kudłatej sierści, z bursztynami skawalonej ropy w oczach przekrwionych i mętnych z niewyspania, podrażniony sykiem parowozów, dzwonkami tramwajów i zgiełkiem ludzkiej mowy, który niósł się z okolic Dworca Kaliskiego — powstał ciężko z legowiska przy torach; ruszył skwerem do ulicy Towarowej; w prawo; minął bocznicę kolejową i szeroką żwirowaną aleją wszedł w park, w kurz i kojącą ciszę zieleni; dzień dobijał akurat południa; wyjrzało słońce, więc ciągnął za sobą po ziemi wierny, źle zarysowany, rozpłaszczony cień. Zniknął w krzakach otaczających przedszkole, patrząc koso przez drucianą siatkę — tu znowu był harmider: skrzyp huśtawek, szmer przesypywanego piasku, cienkie radosne piski usmotruchanych, opalonych dzieci i surowe napomnienia wychowawczyń; zgubił to wszystko za drugą i trzecią ścianą zieleni — znowu był względny spokój: po sztucznym stawie pływały dostojnie parami nadęte białe łabędzie, na kolorowych ławkach w zaciętym milczeniu nieliczni ludzie wystawiali twarz do słońca, w cieniu studenci i uczniacy kuli ze skryptów i zeszytów, a przy marmurowych szachownicach emeryci i rozmaite obiboki zagrywały w damkę, w tysiąca albo nawet w pokera na forsę; smród papierosów; Rudy tego nie lubi; zboczył w lewo truchtając na skos do pomnika wojennych bohaterów i tam, w cieniu różowych marmurów, rozłożył się płasko dla małego odpocznienia...

W tym samym czasie z bramy przy ul. Gdańskiej wysunął się chyłkiem na słoneczną stronę chodnika, inny pies; czarny długowłosy, wyższy trochę od Rudego i niby tak samo wychudzony, zapadły na bokach, a przecież brzucho miał wzdęte, spęczniałe od wygrzebanego ze śmietników pożywienia, zawieszone nisko nad ziemią, co czyniło go podobnym do brzemiennej suki — wlókł to brzucho i ten przerośnięty, zakręcony spiralnie ogon w pyle drogi, skręcił w Mickiewicza; dysząc głośno, przystanął na skraju jezdni, żeby przepuścić strumień niecierpliwych samochodów, a kiedy przyszła odpowiednia chwila, ściął ulicę Żeromskiego wchodząc do parku od strony wysokiej, jak na ten nizinny teren, góry. Zimą, jeśli złapie mróz, szaleją tu narty, łyżwy, sanki i podeszwy wyślizganych butów. Teraz, wiosną, na łagodnych, porosłych trawą stokach i w samej dolinie baraszkują dzieci i psy, a roznegliżowane panie w halkach i przybrudzonych stanikach polegują gnuśnie, żeby załapać przed urlopem trochę słońca. Czarny zna te sprawy od podszewki. Wie, że nieraz przychodzi czas obławy: wrzuca się wówczas tym paniom mandaty za niszczenie zieleni, przeganiа się dzieci i karze grzywną właścicieli psów pozbawionych kagańca i puszczonych samopas z obroży. No, lecz Czarny nie chce o tym myśleć. Ma na głowie ważniejsze sprawy. Bieży krętą wydeptaną ścieżką w krzaki, pod płot Technikum Włókienniczego, wymija warsztaty szkolne i boisko, na którym chłopaki w gimnastycznych strojach walczą twardo, klnąc i wrzeszcząc przeraźliwie, o ciężką pościeraną piłkę. Skręca w lewo, sunie nad skraj żołnierskiego cmentarza. Tu, w cieniu płyt grobowych, robi sobie przerwę, wsłuchując się czujnie w martwą, ukwieconą ciszę.

Kiedy Rudy odpoczął w chłodzie

Dalszy ciąg na str. 5

ŚWIATA

Dzisiejszy przegląd bieżących aktualiów na scenie międzynarodowej rozpoczynamy od dwóch wizyt w Warszawie: zakończonej w ub. tygodniu — przewodniczacego Wielkiego Churału MRL — D. Sambu, który w czasie swego pięciodniowego pobytu w Polsce odwiedził także Łódź oraz trwającej — prezydenta Indii — V. V. Giri. Oba te fakty świadczą, że stosunki Polski z Mongolską Republiką Ludową i Indiami rozwijają się pomyślnie, a wspomniane wizyty wprowadzają je na kolejny, wyższy etap. Dotyczy to zarówno wymiany gospodarczej i kulturalnej, jak i stosunków politycznych.

Komunikat o wizycie przewodniczącego Sambu w części międzynarodowej akcentuje przede wszystkim te problemy, które wiążą się z rozszerzeniem frontów agresji imperialistycznej. Podkreśla więc, że:

> *„oba kraje udzielają pełnego poparcia dla wyzwoleńczej walki narodów Wietnamu, Kambodży i Laosu", oraz że „wielkie znaczenie dla zwycięskiej walki narodów Indochin ma jedność działania krajów socjalistycznych, zespolenie wszystkich postępowych i pokojowych sił w walce przeciwko agresji imperializmu amerykańskiego".*

Sytuacja w Azji będzie też z pewnością jednym z zasadniczych tematów rozmów z prezydentem Giri.

Na płaszczyźnie politycznej Polskę i Indie łączy szeroka współpraca z rozstrzyganiu problemów wielkiej miary, takich choćby, jak: sprawa rozbrojenia, obrona prawa narodów do samostanowienia oraz konflikt indochiński. Warto bowiem w tym miejscu przypomnieć, że Polska i Indie wchodzą w skład Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Indochinach, a w 1954 roku brały udział w Konferencji Genewskiej. W czasie warszawskich rozmów obie strony rozważą więc na pewno skomplikowane „dziś" Indochin i zastanowią się, jak mogą dalej przyczyniać się do przywrócenia pokoju w tym rejonie świata.

Podobnie, jak w czasie wizyty przewodniczącego Sambu, wiele miejsca w rozmowach zajmą stosunki bilateralne. Indie bowiem są naszym ważnym partnerem handlowym — największym w Azji i drugim w kolejności z krajów poza europejskich (po Stanach Zjednoczonych).

Zakończony potwierdzeniem pełnej zgodności poglądów pobyt w Polsce D. Sambu oraz przyjazd V. Giri świadczą o aktywności naszej polityki również poza europejskim kontynentem.

W Europie przykładem naszej inicjatywy jest podjęcie wymiany poglądów na tematy polityczne z NRF. Właśnie zakończyła się czwarta runda tych rozmów, zamykająca ich pierwszy, wstępny etap. Drugi otwarty zostanie rozmowami warszawskimi w lipcu. Tym razem oma wiać się już będzie i wypracowywać porozumienie o podstawach normalizacji stosunków między Polską i NRF.

U podstaw tej normalizacji, jak wielokrotnie to podkreślaliśmy, musi lec potwierdzenie przez NRF zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie, tak, jak przed 20 laty uczyniła to Niemiecka Republika Demokratyczna w Układzie Zgorzeleckim. Tylko bowiem uznanie realiów powojennych i zrezygnowanie przez Bonn z prób ich podważania — może otwierać drogę do procesów normalizacyjnych. Fakt, iż dotychczasowa wymiana poglądów z rządem NRF umożliwia wejście rozmów w nowy etap, wydaje się wskazywać na pomyślne prognozy.

Otworzyły się one również w rozmowach NRF ze Związkiem Radzieckim, rozmowach dotyczących wymiany oświadczeń o wyrzeczeniu się siły. Mówił o tym na przedwyborczym spotkaniu w Moskwie Leonid Breżniew.

> *„Między Związkiem Radzieckim i NRF — powiedział sekretarz generalny KC KPZR — odbyła się wymiana poglądów na temat możliwości osiągnięcia porozumienia co do szeregu doniosłych spraw, związanych wzajemnymi stosunkami. Tę wymianę poglądów uważamy za pożyteczną i ze swej strony jesteśmy gotowi do kontynuowania rozmów i doprowadzenia ich do pozytywnego zakończenia. Innymi słowy ustosunkowujemy się do tego poważnie, ponieważ sprawa umocnienia bezpieczeństwa w Europie jest jednym z najważniejszych zadań naszej polityki...".*

Niedzielne wybory do trzech parlamentów krajowych w NRF, których wyników nie możemy skomentować jako że przygotowanie tego komentarza wyprzedza ich ogłoszenie, jak już pisaliśmy w ub. tygodniu, stały się okazją do ataku sił zachowawczych w polityce na realizm Brandta. Ujawniły one, jak mocno zakorzeniona jest w NRF niechęć do uznania powojennej mapy Europy i odprężenia na gruncie realiów, jak duże są wpływy sił odwetowych, przez lata całe umacnianych polityką poprzedników obecnego kanclerza. Tym bardziej więc dla Europy nie jest obojętne, jak będą rozwijane i wprowadzane w życie pozytywne elementy w obecnej polityce NRF.

Jedno wszakże jest pewne: droga do zapewnienia pokoju w Europie prowadzi tylko przez zagwarantowanie nienaruszalności granic, wyrzeczenie się siły i stworzenie systemu bezpieczeństwa. NRF może i powinna wnieść w to swój wkład.

W. SŁAWSKI

● *Zewsząd o wszystkim* ●

Nie czują się zagrożone

„U. S. NEWS AND WORLD REPORT" — WASZYNGTON

W Europie zachodniej stacjonuje 310 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Dwadzieścia lat temu było ich tutaj tylko 145 tysięcy. Rozlokowano tu około 50 wielkich amerykańskich baz morskich i powietrznych oraz setki mniejszych zgrupowań wojskowych. 700 bojowych samolotów USA ma swoje bazy na Wyspach Brytyjskich i w zachodnich Niemczech. Znajduje się w tej liczbie około 420 myśliwców bombardujących, 210 samolotów transportowych oraz 70 samolotów-szpiegów. Na Morzu Śródziemnym stacjonuje od 40 do 50 okrętów wojennych VI floty amerykańskiej. Należy do nich dodać pewną liczbę łodzi podwodnych z wyrzutniami rakiet, które pływają nie tylko na Morzu Śródziemnym, lecz również na północnym Atlantyku. W zachodniej Europie zmagazynowano przeszło 7 tysięcy głowic jadrowych, w tej liczbie również bomb i rakiet taktycznych.

Stany Zjednoczone wydatkują w Europie, tylko na same urzędy administracji wojskowej, około 14 miliardów dolarów rocznie. Wojskowy budżet USA jest trzy i pół raza większy od wojskowych budżetów wszystkich pozostałych 14 krajów — członków NATO razem wziętych.

Gdyby Stany Zjednoczone Ameryki powzięły decyzję wycofania z zachodniej Europy jakiejś części swych wojsk, to należy wątpić, czy — z wyjątkiem NRF — którykolwiek z europejskich sojuszników USA w NATO zechciałby zapełnić powstałą w ten sposób próżnię militarną.

Czynniki oficjalne, decydujące o problemach obrony, jak również polityczni przywódcy krajów zachodniej Europy uważają za „nierealistyczne" założenie, że Europejczycy utworzą dodatkowe siły zbrojne, aby zastąpić nimi wojska amerykańskie. Jedną z przyczyn tej niechęci jest fakt, iż praktycznie rzecz biorąc, ani jeden kraj europejski nie czuje się zagrożony w swoim bezpieczeństwie i dlatego nie jest zainteresowany w powiększaniu sił zbrojnych. Na kontynencie żąda się powszechnie zmniejszenia wydatków na obronę i w zamian — zwiększenia środków pieniężnych na podniesienie stopy życiowej i potrzeb socjalnych ludzi pracy.

Wielu ekspertów politycznych wyraża obawy, iż spadek amerykańskiego potencjału militarnego w zachodniej Europie wywoła falę neutralizacji i że każdy kraj zachodnioeuropejski zacznie szukać gwarancji swego bezpieczeństwa w sojuszu z Rosją.

„Pan Heinrich jest człowiekiem porządnym..."

„KONKRET" — HAMBURG

Władze miejskie Rendsburga (NRF) łamią sobie głowę nad znalezieniem sposobu, w jaki można by ukryć szydło, wychodzące z worka. „Pan Heinrich jest człowiekiem nader porządnym i cieszy się szacunkiem, ale staramy się w miarę naszych możliwości nie wysuwać go na widoczne miejsce" — oświadczył jeden z ojców miasta korespondentowi „Sterna".

Jednakże usilne zabiegi władz miejskich, aby ukryć w cieniu Herr Heinricha, natrafiają na zdecydowany opór społeczeństwa. Miejscowy Okręgowy Związek Niemieckich Związków Zawodowych rozpowszechnił ulotkę, która rzuca światło na tak zwaną „sprawę Heinricha".

Przez trzynaście lat, aż do momentu aresztowania, dosłownie przy biurku w roku 1965, Herman Heinrich zajmował kierownicze stanowisko w radzie miejskiej. Okazało się, że w latach 1934—38 służył on w oddziałach SS, w pułku osobistej ochrony Hitlera, a później pracował w kancelarii fabryki śmierci w okolicach Krakowa. W marcu 1968 roku sąd przysięgłych w Kilonii skazał go na 6 lat ciężkiego więzienia za mordowanie ludzi w hitlerowskich obozach śmierci.

Jednakże w maju 1969 roku sąd federalny uchylił ten wyrok „w związku z reformą prawa karnego"...

W sierpniu ub. roku Herman Heinrich złożył pismo, w którym żądał przyjęcia go na uprzednio zajmowane stanowisko. Zaufany lekarz Grabener uznał go „za zdolnego do podjęcia pracy". Rezultat: od 1 grudnia 1969 roku Heinrich kieruje sprawami przydziału mieszkań w urzędzie socjalnym w Rendsburgu.

W związku z tym, w apelu protestacyjnym, pod którym złożyły swe podpisy tysiące mieszkańców miasta, czytamy m. in.: „Jak można dopuścić do tego, aby w urzędzie socjalnym naszego miasta zatrudniony był ekspracownik nazistowskiej policji kryminalnej?" Przedstawiciel Okręgowego Związku Niemieckich Związków Zawodowych, Alfred Lausch, złożył następujące oświadczenie: „To już wyraźnie zakrawa na kpinę, żeby kierownicze stanowisko powierzać człowiekowi, który znecał się nad ludźmi".

Mimo to, rada miejska Rendsburga, pięcioma głosami chrześcijańskich demokratów, przeciwko czterem głosom socjaldemokratów, zaakceptowała Hermana Heinricha na tym stanowisku...

W tym samym czasie, w innym zachodnioniemieckim mieście, Hamburgu, nie przyjęto do pracy w charakterze śmieciarza człowieka, sadzonego kiedyś za złodziejstwo. W uzasadnieniu tego postanowienia czytamy: „Kto pracuje w interesie społeczeństwa, musi się cieszyć nieposzlakowaną opinią..."

ZAMIAST ŻYCZEŃ...

„Głos Robotniczy", organ KW i KŁ PZPR, obchodzi dwudziestopięciolecie swego istnienia. W ciągu tych lat stał się najbardziej popularną gazetą codzienną Łodzi, legitymującą się imponującym nakładem i jeszcze większym kredytem czytelniczego zaufania. Toteż jubileusz „Głosu" jest właściwie świętem całej Łodzi i całej Ziemi Łódzkiej, podobnie jak ten sympatyczny dziennik jest rzetelną kroniką osiągnięć naszego regionu.

Napisaliśmy „świętem", ale przecież obecność tej gazety w naszym życiu nie jest wcale odświętna. Jubileuszowe hasło „Głos Robotniczy wszędzie z Tobą" trafnie oddaje sens tej codziennej, nieodświętnej obecności. To więcej niż jubileusz, choćby nawet tak zasłużony.

Przyjmijcie, Koledzy, z tej okazji nasze najlepsze, serdeczne gratulacje. Przyjmijcie nasze koleżeńskie powinszowania i nasze czytelnicze wyrazy sympatii.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „ODGŁOSÓW"

Najdroższy znaczek świata

„LIFE" — NOWY JORK

Znaczek ten, nawet reporterowi „Lifu", pokazano spoza okratowanych drzwi skarbca jednego z banków amerykańskich. Jest to najsłynniejszy znaczek pocztowy świata.

Wypuszczono go w Gujanie Brytyjskiej w roku 1856, kiedy to pewnego dnia zbrakło nagle znaczków pocztowych. W obawie przed fabrykacją falsyfikatów, urzędników pocztowych zobowiązano do składania podpisu na każdym sprzedanym egzemplarzu.

W roku 1872 uczeń jednej ze szkół gujańskich, W. Wogan, bawiąc się na strychu, znalazł jeden taki znaczek całkiem przypadkowo. Jak się później okazało, był to jedyny ocalały egzemplarz. Wogan sprzedał go za 6 szylingów niejakiemu Neilowi Mackintosh.

Po pierwszej wojnie światowej znaczek ten zalazł się w kolekcji hrabiego Ferrari, która została następnie skonfiskowana przez władze francuskie na rzecz odszkodowań i sprzedana na aukcji w r. 1923. Na aukcji szczególną uwagę zwracał nieznany mężczyzna w średnim wieku — chodzą słuchy, że był to agent handlowy, działający z polecenia króla angielskiego Jerzego V — który nieustannie podwyższał cenę znaczka. Koniec końców przelicytował go amerykański fabrykant, Arthur Heynd i kupił znaczek za sumę 32 i pół tysiąca dolarów!

Znaczek jeszcze wiele razy przechodził z rąk do rąk, wciąż rosnąc w cenie. Wreszcie, na niedawno odbytej aukcji w Nowym Jorku, kupił go za 280 tysięcy dolarów (!) syndykat biznesmenów z Pensylwanii.

W porównaniu z rokiem 1856 wartość znaczka wzrosła 25 milionów razy i z pewnością będzie rosnąć na dal.

Biznes w eterze

„SUNDAY TELEGRAPH" — LONDYN

Pomiędzy księstwem Monaco a Włochami rozpala się prawdziwa wojna. Walka handlowa o grubą stawkę 700 tysięcy funtów szterlingów, które rok rocznie inkasuje radiostacja Monte-Carlo za informacje reklamowe.

„Radio Monte-Carlo" codziennie transmituje na Włochy 12-godzinne, bardzo atrakcyjne programy muzyczne, a przerwy w transmisji wypełnia niekończącymi się reklamami. Doszło już nawet do tego, że wielkie włoskie firmy przeznaczają o wiele więcej pieniędzy na reklamowanie swoich wyrobów w „Radio Monte-Carlo", niż w rodzimych rozgłośniach.

Ostatnio, w parlamencie włoskim interpelowano w tej sprawie ministra poczty oraz zażądano powtórnego uruchomienia od dawna już nieczynnej radiostacji w San Remo, małym kurorcie na Riwierze Włoskiej, niedaleko granicy księstwa Monaco. Celem tych manewrów jest zahamowanie odpływu dochodów z reklamy do „Radia Monte-Carlo".

Oficjalną przyczyną ataku na „Radio Monte-Carlo" jest rzekomo zabronienie reklamowania włoskich wyrobów tytoniowych na terenie Włoch.

● *Zewsząd o wszystkim* ● *Zewsząd o wszystkim* ●

JERZY WILMAŃSKI

Ludzie spod znaku płomienia wiedzy

Państwowe Wydawnictwo Naukowe nie potrzebuje specjalnej prezentacji. Jest to firma wydawnicza o ustalonej już — wysokiej — renomie, szczycąca się osiągnięciami edytorskimi dużej klasy i niepoślednej wartości naukowej. Oczywiście nie sposób wymienić choćby cząstki z tych setek publikacji sygnowanych znakiem splecionych liter, zakończonych płonącym kagankiem. Ale wymieńmy przynajmniej publikacje encyklopedyczne, serie „Klasyków Filozofii", „Omega", Słownik Języka Polskiego, Geografię Powszechną, Atlas Świata...

Oprócz tego „wielkiego PWN" istnieją także „małe PWN-y" — oddziały terenowe — wśród nich łódzki — spełniające również funkcję regionalnego wydawnictwa naukowego. Przed paroma dniami właśnie w Łodzi obradowało **dwudniowe Krajowe Kolegium Wydawnicze PWN,** poświęcone m. in. ocenie działalności łódzkiego Oddziału Wydawnictwa.

Wydaje się, że jest to dobra okazja do zaprezentowania łódzkiemu czytelnikowi dorobku naszej naukowej firmy wydawniczej. Otóż Oddział PWN w Łodzi — kierowany przez dyrektora mgr Jerzego Górczaka — wydaje rocznie około 400 tytułów o niemałej objętości, wyrażającej się liczbą 6,5 tysiąca arkuszy wydawniczych. **Kilkadziesiąt pozycji rocznie Oddział łódzki PWN przygotowuje na eksport — m. in. do USA, Anglii, NRF.** Pozatem łódzka firma zaspakaja w skali krajowej zapotrzebowanie na skrypty akademickie.

Miniony rok — a właśnie on był przedmiotem oceny Kolegium Wydawniczego — nie należał w działalności Oddziału PWN w Łodzi — do łatwych. Wiadomo, że obchody 25-lecia PRL spowodowały szczególne spiętrzenie prac wydawniczych w samym Oddziale jak i w drukarniach, co na pewno nie ułatwiało wykonania planu publikacji.

Drukarnie, mimo obietnic Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego, nie otrzymały odpowiedniej ilości zapowiedzianych kompletów czcionek i znaków specjalnych. Prowizorka lokalowa własnych Zakładów Graficznych — uniemożliwiająca modernizację urządzeń i rozwój tzw. małej poligrafii — także hamowały normalny tok pracy. Ciasnota lokalowa samego Oddziału, braki w środkach łączności i transportu, braki w wyposażeniu Oddziału powodowały nie tylko codzienne kłopoty, ale i nadmierny wzrost kosztów wydawniczych.

Piszę o tych przyziemnych i prozaicznych sprawach i trudnościach, aby tym mocniej zaakcentować fakt, że wykonanie, a nawet przekroczenie planowych zadań Oddziału było głównie wynikiem ofiarnej pracy całego zespołu i sprawności kierownictwa. Wynikiem rosnącej świadomości i fachowości pracowników PWN, wzrastającego ideowego i społecznego zaangażowania.

U progu 20-lecia tej zasłużonej firmy wydawniczej powołanej do życia przed 19 laty, warto pomyśleć o rozwiązaniu wielu palących, a dotąd nie rozwiązanych problemach. I tym problemom warto chyba poświęcić w najbliższym czasie sporo wysiłku.

Istotną sprawą jest na pewno pozyskanie w jeszcze większym niż dotąd stopniu poparcia łódzkiego środowiska naukowego. Dodajmy, że środowisko to jest przecież żywotnie zainteresowane w rozwoju łódzkiej placówki wydawniczej.

Ale indeks spraw jest daleko obszerniejszy. Chodzi więc także o doposażenie łódzkich drukarń — w szczególności Łódzkiej Drukarni Dziełowej — w oprzyrządowanie, zestawy czcionek itp. niezbędne do wykonywania prac naukowych. Chodzi o podstawowe warunki zapewniające normalną pracę Oddziału, o rozwiązanie kłopotów etatowych, transportowych, wyposażeniowych... Jeśli mówimy o osiągnięciu większej wydajności pracy, o skroceniu cykli produkcyjnych książki, o jakości produkcji i jej potanieniu — to przecież może się to stać tylko w warunkach zaspokojenia wszystkich podstawowych potrzeb wydawnictwa.

Zmorą wszystkich chyba wydawnictw są tzw. poślizgi. Nie ustrzegło się ich również Państwowe Wydawnictwo Naukowe, ale jeśli w obecnych trudnych warunkach na 6,5 tysiąca arkuszy wydawniczych — rok 1969 zamknął się liczbą 317 arkuszy „poślizgowych", to jest to właściwie mini-sukces. Tak, bo przecież trzeba sobie zdać sprawę, ze istnieje podstawowa różnica w skali trudności drukarskiego składu pracy naukowej a — powiedzmy — tomu opowiadań. Dodajmy do tego pożar drukarni RSW „Prasa", gdzie spłonął gotowy już skład dwu bardzo trudnych w wykonaniu prac naukowych. Skład trzeba było zaczynać od początku w innej już drukarni w nowych warunkach i z nowymi ludźmi.

Nawiasem mówiąc współpraca z niektórymi drukarniami pozostawia wiele do życzenia. Na przykład Łódzka Drukarnia Dziełowa ze względu na swój profil — bazę taniej i wysokonakładowej książki — nie jest zakładem, w którym PWN mógłby z zaufaniem i dobrym rezultatem realizować zamówienia. Wydaje się, że koniecznym posunięciem będzie stworzenie w ŁDD Działu Publikacji Naukowych z wydzielonym zespołem wysoko kwalifikowanych fachowców, którzy — dysponując oczywiście odpowiednim wyposażeniem technicznym — zajmowaliby się wyłącznie zamówieniami naukowymi.

Jest to posunięcie konieczne, choć i ono stanowi zaledwie półśrodek. W sytuacji dynamicznego rozwoju nauki w naszym mieście, co przecież znajduje swój wyraz w powstawaniu nowych instytutów i placówek naukowo-badawczych — siłą rzeczy będą nadal wzrastać potrzeby wydawnicze łódzkiego środowiska naukowego. Zresztą i dziś potrzeby te nie mogą być w pełni zaspokojone. Wydaje się więc nieodzowna budowa w Łodzi drukarni naukowej, obliczonej na pełne zaspokojenie potrzeb edytorskich w zakresie publikacji naukowych. Jak dotąd — niestety — Oddział PWN w Łodzi obraca się w kręgu półśrodków poligraficznych lub, co gorsza — po prostu swego rodzaju partyzantki.

Podkreślam — w tej trudnej sytuacji wykonano i przekroczono zadania planowe Redakcji Oddziału oraz — jak to się potocznie mówi — zabezpieczono wykonanie planu na rok bieżący. Liczby są wymowne i argumenty statystyczne nieodparte. Do stycznia br Oddział PWN przekazał w wydawnictwach ciągłych i seryjnych ponad 70 proc. opracowanych arkuszy z planu wydawniczego nowego roku.

Nie chcę zarzucać czytelnika kolumnami cyfr i wskaźników. Wydaje się jednak, że warto zwrócić uwagę na fakt, że ulega skróceniu cykl produkcyjny książki — że publikacja pokona drogę od biurka naukowca do rąk czytelnika w czasie o wiele krótszym niż dotychczas. Takie prognozy można wysnuć obserwując przebieg produkcji pierwszych pięciu miesięcy bieżącego roku.

Ale dojście książki naukowej do czytelnika to także sprawa odpowiedniego jej zareklamowania. Oddział PWN w Łodzi organizuje atrakcyjne wystawy w księgarniach, stoiska na Politechnice i Uniwersytecie, bierze udział w tradycyjnych majowych kiermaszach, organizuje wystawy, spotkania z naukowcami... Słowem — nie zamyka swej działalności z chwilą zamknięcia cyklu produkcyjnego książki. Bowiem — jak mówi dyr. Jerzy Górczak — „Nasze zadanie nie kończy się w momencie opracowania i wydrukowania książki. Nasze książki — naukowe i polityczne — chcemy jeszcze czytelnikowi zaproponować, chcemy go zachęcić do lektury, ułatwić wybór odpowiadającej mu publikacji. Zwłaszcza, że wydajemy książki nie będące lekturą do poduszki, lecz dzieła poważne, niosące w sobie bagaż wiedzy i naukowych przemyśleń — a więc tym bardziej godne polecenia".

To prawda i cieszy fakt nieustannego rozwoju łódzkiej firmy wydawniczej, która mimo dziesiątków trudności, dzięki ofiarności i zaangażowaniu ludzi z Oddziału PWN, prowadzi trudne lecz ambitne dzieło popularyzacji nauki. Renomowany znak — płomyczek wiedzy na stylizowanych literach PWN — jest znakiem wysokiej naukowej wartości. Ranga i renoma tego znaku — signum ambitnej, wartościowej książki — jest także zasługą pracowników terenowego oddziału PWN w Łodzi.

Poznajcie bohaterską historię swego miasta

(Przemówienie ministra Henryka Jabłońskiego)

Ostatnio odbywały się w Łodzi uroczystości jubileuszowe związane z ćwierćwieczem Uniwersytetu Łódzkiego. W obchodach tego, jakże istotnego dla naszego miasta — jubileuszu wziął udział m. in., Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, prof. Henryk Jabłoński. Poniżej drukujemy tekst przemówienia wygłoszonego przez ministra Jabłońskiego na uroczystości jubileuszu UŁ.

MAGNIFICENCJO! SZANOWNI ZEBRANI!

Dwadzieścia pięć lat w życiu człowieka to wiele, w życiu takiej instytucji, jak uczelnia wyższa, ćwierćwiecza mijają niemal niepostrzeżenie. Czemu więc przypisać, że spotkaliśmy się w tak licznym gronie, że mówimy o jubileuszu, że pierwsze po stolicy miasto Rzeczypospolitej dzień ten uważa za swoje święto? Chodzi więc tu niewątpliwie o coś więcej niż o zwykłe 25 lat pracy jednej ze szkół wyższych, chodzi o wartości, których sama ta liczba nie obrazuje.

Ze starych przekazów źródłowych wiemy, że w XV wieku w miejscowości tej była ulica Szkolna. Kiedy powstała nie wiemy, ale to znak nieomylny, że szkolnictwo łódzkie ma wieleset lat tradycji. W dobie rozkwitu szlacheckiej Rzeczypospolitej łodzianie byli wśród uczniów Wszechnicy Jagiellońskiej, wśród jej profesorów. A potem długie dziesiątki i setki lat wegetacji, normalnej gdy do upadku chyliło się państwo, i wreszcie wiek XIX, wiek burzliwego rozwoju Łodzi, rozkwitu jej przemysłu, niezwykle szybkiego wzrostu klasy robotniczej.

„Ziemia obiecana" — w marzeniach — dla tysięcy ciągnących tu w poszukiwaniu pracy i chleba proletariuszów. „Ziemia obiecana" — w najbardziej realnym kształcie — dla tych, co posiedli tajemnicę kapitalistycznej alchemii: przemiany robotniczego potu na własną fortunę.

I mijały znów dziesiątki lat, dalej rosła Łódź, a wraz z nią jej proletariat, ale jeszcze ważniejsze dla przyszłości tego miasta i całego narodu było to, że rosła świadomość klasowa tych, których praca pomnażała jego bogactwo. Rosła więc Łódź wielkich strajków, Łódź pierwszego majowego święta 1891 r., Łódź wielkiego buntu, a w latach rewolucji 1905—1906 trzecie miasto cesarstwa, po Moskwie i Petersburgu, pod względem liczby zrzeszonych robotników, a później, już w niepodległej Polsce, jedyne z wielkich miast, w którym w jednolitym froncie sięgnęła po rządy nim klasa robotnicza w zwycięskich wyborach 1936 r.

I dziwić się nie można rządzącym krajem, że w tym mieście, tak wielkim liczbą swych mieszkańców, tak ważnym gospodarczo, o tak dużym zapotrzebowaniu na wysoko kwalifikowaną kadrę — nie chcieli tworzyć szkół wyższych. Toć przecież uniwersytet czy politechnika tutaj istniejące musiałyby ułatwić dostęp do wyższego wykształcenia dzieciom tych, co wciąż postawą swą grozili panowaniu kapitału, musiałyby umacniać siły walczące o sprawiedliwość społeczną, a nikt rozsądny nie będzie przecież kuł dobrowolnie broni przeciwko sobie. I tylko mały oddział prywatnej Wolnej Wszechnicy Polskiej reprezentował w tym wielkim mieście szkolnictwo wyższe.

I trzeba było dopiero wielkiego, historycznego przewrotu, trzeba było, by lud pracujący pod przewodem swej politycznej awangardy wziął odpowiedzialność za losy narodu całego, przeprowadził zwycięski bój o narodowe i społeczne wyzwolenie, by Łódź, zrzuciwszy brzemię okupacji, zdobyła zarazem prawo pełnego i wszechstronnego wykształcenia dla swych dzieci.

Powstanie Uniwersytetu w tym mieście — to nie jeden z wielu faktów rozbudowy szkolnictwa wyższego w Polsce, lecz świadectwo najwymowniejsze czym dla narodowej kultury jest władza klasy robotniczej, wyraz wymowny prawdy, że rewolucja społeczna w Polsce przyniosła władzę ludu dla ludu, że nowa, odrodzona Rzeczpospolita stała się tego ludu matką sprawiedliwą. I dlatego to, gdy pierwszą inaugurację Uniwersytetu Łódzkiego przypominamy, widzimy w tym symbol przemian w życiu całego narodu najdonioślejszych, które sprawiły, że miasto, które tej uczelni jest siedzibą, zyskało wreszcie należną mu pozycję w kulturalnym życiu narodu i państwa.

Fot. A. Wach

Przed szkolnictwem wyższym stawiamy zadania coraz bardziej odpowiedzialne i trudne. Nie czas je przy dzisiejszej uroczystości szczegółowo omawiać. Mieliśmy zresztą po temu okazję na niedawnym spotkaniu. Przypomnieć się jednak godzi, że i dla nas, jak dla całego kraju, podstawowym dziś problemem jest walka o jakość. Wyniki ilościowe naszej pracy są już dostatecznie

Fot. A. Wach

duże by przyznać w dalszej działalności uczelni prymat sprawie jakości, tak w zakresie badań, jak dydaktyki i wychowania. Temu służyć muszą wszelkie zmiany organizacyjne, stałe ulepszanie metod i form pracy. Dlatego też tak wielką wagę przypisujemy powiązaniu uczelni z praktyką życia gospodarczego i kulturalnego kraju, a z drugiej strony wykorzystaniu wszelkich rezerw, jakie istnieją jeszcze wewnątrz samych szkół, mobilizacji wszystkich sił, tkwiących tak w kadrze nauczającej, jak w młodzieży.

Jestem głęboko przekonany, że pod tym względem łódzkie uczelnie mają warunki szczególnie sprzyjające. Nie dlatego, oczywiście, że zaspokojone zostały ich potrzeby, bo do tego jeszcze daleko, ale przecież dla każdej twórczej pracy najważniejszy jest klimat, w jakim się ją prowadzi. A ten, ze względu na wyjątkową troskliwość i opiekę, jaką szkoły łódzkie odczuwają ze strony politycznych i administracyjnych władz miejscowych, jest tak korzystny, że pomnażać musi siły i możliwości całego łódzkiego środowiska naukowego.

SZANOWNI ZEBRANI!

Nie będzie chyba z mej strony nietaktem, jeśli podkreślę, że i dla mnie osobiście jubileusz Uniwersytetu Łódzkiego ma znaczenie specjalne, coś z osobistego święta, choć nigdy z uczelnią tą nie byłem bezpośrednio związany. Ale przecież i moi rodzice, gdy z półrocznym dzieckiem do Łodzi przybyli, szukali tu swej „ziemi obiecanej". Tu, przy Bałuckim rynku uczyłem się stawiać pierwsze w życiu kroki, a później pierwszą publiczną edukację przyszło zdobywać wraz z młodszym, tu już urodzonym bratem, na podwórku w podmiejskiej wówczas Rudzie Pabianickiej. Dawne to lata, ale kalendarzowa ich odległość jest niczym w porównaniu z tą różnicą epok, jaka dla robotniczego dziecka dzieli je od ostatniego ćwierćwiecza. Pozwólcie więc, że zaczynając swe przemówienie od pozdrowienia rektora tej uczelni, nie do Niego się zwrócę w zakończeniu, lecz do tych, co na ławach studenckich miejsca zajmują lub się dopiero do nich sposobią: poznajcie dobrze bohaterską historię swego miasta, a wtedy zrozumiecie czym była walka Waszych dziadów i ojców i — jeśli zwykłe, ludzkie uczucia nie są Wam obce — nic wówczas nie wydrze Wam z serca miłości do klasy robotniczej Łodzi, do jej awangardy politycznej, która przewodziła w trudnych, ciężkich ofiar wymagających bojach o sprawiedliwość społeczną, o prawo do nauki, do kultury. I gdy z pokorą, szacunkiem i miłością pochylicie się nad spracowaną ręką łódzkiej tkaczki — pamiętajcie: to ona jest prawdziwą twórczynią łódzkiego Uniwersytetu.

PLAGI XX wieku

Dalszy ciąg ze str. 1

jest najlepszym remedium na złe samopoczucie człowieka w sztucznym środowisku, jakie sobie stworzył w wielkomiejskich aglomeracjach. Udowodniono dodatni wpływ lasu na organa wzroku, tetno, temperaturę skóry i w ogóle na ogólny stan psychiczny i fizyczny człowieka. Las daje odprężenie, odpoczynek, latem łagodzi upały, zimą — mrozy, ma wpływ na siłę wiatrów i wielkość opadów oraz na całość warunków klimatycznych. Przechwytuje i zatrzymuje pyły, gazy, wzbogaca powietrze w tlen. Jeden hektar lasu w procesie fotosyntezy wchłania rocznie 7 ton dwutlenku węgla. W liściach i igłach gromadzi się także siarkowodór, fluor i chlor. Zanieczyszczenie powietrza pod koronami drzew ulega zmniejszeniu do 40 procent w lecie a do 25 procent zimą.

Człowiek z lasu kiedyś wyszedł i do lasu go ciągnie, chociaż raz w niedzielę. Jak widzimy nie bez powodu. Rzecz polega na tym, żeby zdawał sobie sprawę z jego uzdrawiających właściwości i dbał o las. Niestety, na skutek zanieczyszczeń przez przemysł i przez ludzi, na skutek zaprószeń ognia kilkadziesiąt tysięcy hektarów lasu rocznie bezpowrotnie przepada.

•

Tenor publicystyki na temat ochrony przyrody jest zwykle dość kaznodziejski i wcale nie dziwię się czytelnikom, że z reguły darowują sobie artykuły dotyczące tej problematyki. Sam niechętnie czytam rzeczy pełne wyrzutu pod własnym adresem. Jakieś smutne, przykre, histeryczne, panikarskie. Hiobowa tonacja nie brzmi przyjemnie i zachęcająco.

Ale na lesie rzecz się nie kończy. Pozostaje jeszcze woda, powietrze i hałas. Za zanieczyszczanie wód zakłady przemysłowe płacą wysokie kary i to z funduszu zakładowego. Podobno to nawet trochę pomaga. Nie bardzo wierzę, że ludzie przemysłu celowo, świadomie, czy nawet złośliwie zanieczyszczają nasze wody. Nie jestem tak niskiego mniemania o kierownikach polskiego przemysłu. Ludzie techniki zdają sobie sprawę z konsekwencji społecznych i biologicznych takich praktyk. Nie zawsze są jednak w stanie temu zapobiegać. Urządzenia oczyszczające są bardzo drogie.

Przyznać trzeba obiektywnie, że dużo się w tej dziedzinie przecież robi. Należy wziąć pod uwagę, że problem zjawił się niedawno, nie mieliśmy odpowiedniego sprzętu, urządzeń pomiarowych i kadry specjalistów. Na pewno jeszcze wszystkiego jest za mało, lecz już w ostatnim czasie wyszkoliliśmy kilkuset fachowców w tej dziedzinie i wybudowaliśmy w Pszczynie zakład produkujący urządzenia odpylające. Może nie najlepsze, lecz już działają. Okazuje się, że od wychwytywania pyłów trudniejszy jest problem ich magazynowania. Wielkie cementownie, na przykład, dostarczają setki ton pyłu miesięcznie, wyłania się problem, co z tym fantem robić, jak rozwiązać transport. Trzeba by całych pociągów do przewozu takiej masy. Jeśli dyrektor cementowni ma do wyboru, czy wysiać pociągiem cement potrzebny na budowę, czy pył, możemy być pewni, ze wyśle cement. Każdy z tych, co tak głośno krzyczą na przemysł, uczyniłby podobnie.

Histeria, jaka towarzyszy zagadnieniu ochrony naturalnego środowiska przyrodniczego przed ujemnymi skutkami rozwoju techniki niczego na dobrą sprawę nie rozwiązuje. Dobrze jest, ze problem ten dociera do świadomości ogółu, lecz ciągle oskarżanie przemysłu, nieustanne szukanie winowajcy i domaganie się wysokich kar, to chyba nie to, o co nam wszystkim chodzi. Przecież nikt, kto świadomie nie będzie celowo zatruwał wód czy złośliwie zanieczyszczał powietrza. Kierunek ataku publicystów na przemysł jest tylko częściowo uzasadniony.

Fakt, że na 14.000 zakładów w Polsce 8.400 odprowadza swoje ścieki bezpośrednio do rzek, 5.600 odprowadza za pośrednictwem kanalizacji miejskiej. Ale należy widzieć i wiedzieć, że w minionej pięciolatce wydano na budowę 680 oczyszczalni 5,4 miliarda zł. W obecnej pięciolatce planuje się budowę dalszych 900 oczyszczalni. Koszt — około 10 miliardów zł.

Efekty są widoczne. Od dwóch lat stan zanieczyszczenia naszych wód już nie wzrasta. Na Wiśle i Odrze stwierdzono nawet poprawę jakości wód. W Wiśle nastąpiło zmniejszenie zasięgu wód nieprzydatnych dla potrzeb gospodarczych z 742 km do 335 km. Na Odrze stan wód też znacznie się poprawił. Odrę zresztą Czesi nam zanieczyszczali. My im z kolei zanieczyszczaliśmy atmosferę.

•

Najtrudniejszy problem jest z gazami. Emisja gazów z roku na rok wzrasta i będzie jeszcze gorzej. Technika opanowywania gazów na całym świecie nie jest dotychczas rozwiązana. Mała to co prawda pociecha, zwłaszcza dla mieszkańców naszego Widzewa. „Anilana" jest faktycznie zmorą dla tej dzielnicy i niewątpliwie lekkomyślna była decyzja budowy tego zakładu w środku miasta. Decyzję opierano na tym, że wiatry w Łodzi wieją z kierunków północno-wschodnich. Tymczasem gazy są cięższe od powietrza, a ponieważ Widzew leży wyżej niż Śródmieście, więc gazy te po ziemi wędrują do centrum.

Badania przeprowadzone swego czasu wykazały, że na terenie Łodzi istnieją dwa obszary zwiększonego stężenia dwutlenku siarki. Ponadto unosi się w atmosferze większa ilość tlenku węgla i siarkowodoru. Gazy te działają szkodliwie w promieniu 3 kilometrów od fabryki. Swój udział w tym mają nie tylko łódzkie zakłady, lecz niestety także zgierska „Boruta". Odczuwają to przeważnie mieszkańcy Teofilowa. Zresztą budowa na Teofilowie nowej, wspaniałej dzielnicy mieszkaniowej w pobliżu dzielnicy przemysłowej jest też jakimś błędem.

Oczywiście organizm ludzki przed gazami broni się w ten sposób, że młode pokolenia rosną coraz wyższe. Stąd widocznie tyle długonogich dziewcząt i chłopców w naszym mieście...

•

Ale przed agresją hałasu nawet wzrost nie pomoże. To jest też plaga w Łodzi szczególnie niebezpieczna. Wśród włókniarzy, zwłaszcza pracujących na tkalniach, 60 procent osób jest częściowo głuchych. W całej Polsce około miliona ludzi ma upośledzony słuch, z tego 75 procent na skutek nadmiernych hałasów. Jeszcze kilkanaście lat temu symbolem hałasu był ryk lwa, ewentualnie wrzask kibiców na stadionie sportowym. Teraz jeden samolot odrzutowy robi więcej hałasu w ciągu sekundy, niż kilkanaście tysięcy kibiców w ciągu 90 minut.

Na przestrzeni ostatnich lat nastąpił gwałtowny wzrost ilości źródeł hałasu jak również ich mocy. Oto niektóre tylko konsekwencje, jakie wywołuje hałas: ból uszu, zmęczenie zaburzenia snu, agresywność, spadek wydajności pracy (stwierdzono, że wydajność pracowników przeniesionych z pomieszczeń hałaśliwych do wyciszonych wzrosła o 29—52 procent), zaburzenia wzrokowe i zmysłu równowagi, choroby wrzodowe, nadkwasota oraz blokady pęcherzyków płucnych prowadzące nawet nieraz do śmierci.

Szczególnie szkodliwy jest hałas w czasie snu, gdy nie działają mechanizmy samoobrony. Okazuje się, że hałasem jak siekierą można człowieka zabić w jego własnym mieszkaniu.

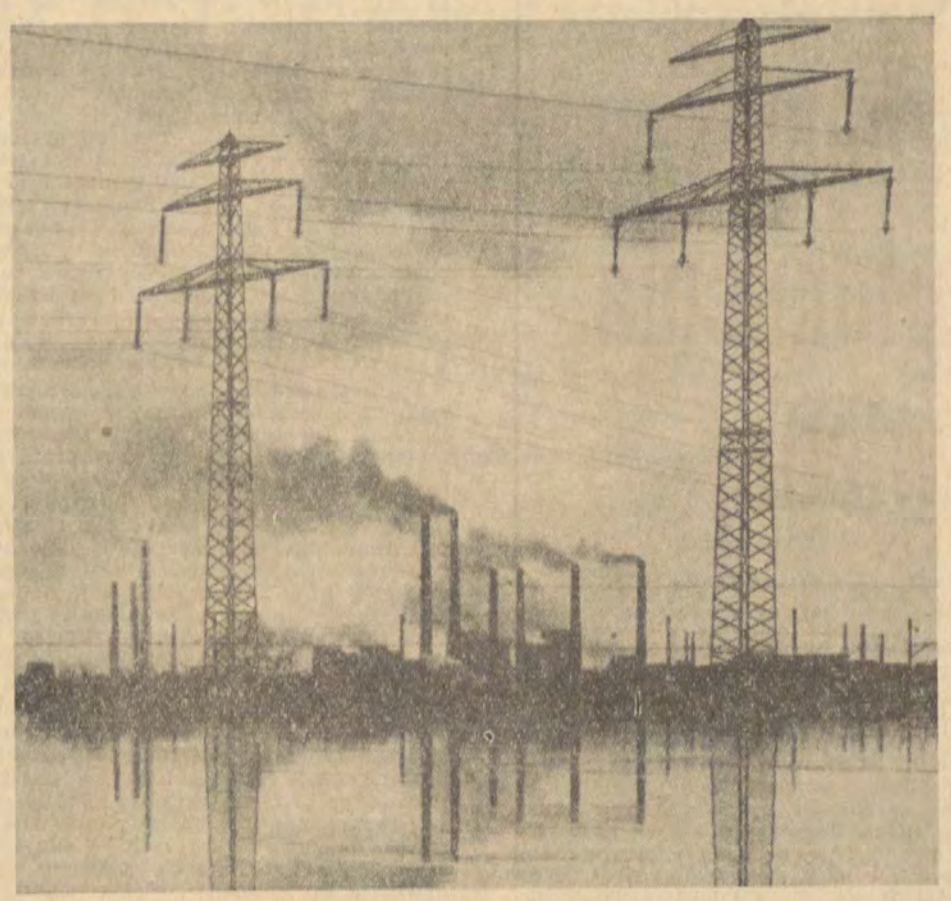

Zdaję sobie sprawę, że walka z tą plagą jest bardzo trudna. Nie ma nawet dotychczas żadnej ustawy, która by w jakiś sposób regulowała tę kwestię. Proponuję na początek zakazać chociaż używania tranzystorów w miejscach publicznych. Mam przyjaciela, który twierdzi, że jak kiedyś znajdą w parku trupa z grającym aparatem radiowym w zaciśniętej dłoni, to on właśnie będzie jego mordercą.

KAROL BADZIAK

DOC. DR JAN WAWRZYŃCZYK

75 lat ruchu

NIEDAWNO wieś polska a z nią cały kraj, obchodziły Święto Ludowe. W bieżącym roku Święto Ludowe zainaugurowało 75-lecie istnienia zorganizowanego ruchu ludowego.

Zorganizowany ruch ludowy powstał w Galicji. Struktura rolna była tu bardzo rozdrobniona, chłopi żyli w nędzy, masowo emigrowali do krajów europejskich i pozaeuropejskich. Oprócz ciężkich warunków ekonomicznych bardzo dotkliwie odczuwali ucisk narodowy. W takiej sytuacji 25 sierpnia 1894 r. został zwołany we Lwowie, przez redakcję „Przyjaciela Ludu", kierowaną przez Bolesława Wysłoucha, wiec chłopski. W rok później — 28 lipca 1895 r. na zjeździe w Rzeszowie założono pierwszą chłopską organizację polityczną — Stronnictwo Ludowe. Program ówczesnego Stronnictwa Ludowego w dziedzinie politycznej domagał się równości obywatelskiej, sprawiedliwego podziału ciężarów publicznych, zmiany ustawy drogowej i łowieckiej, zorganizowania taniego kredytu.

W byłym Królestwie Polskim w wyniku działalności Kół Oświaty Ludowej i Towarzystwa Pszczelniczo-Ogrodniczego został zorganizowany 13 lipca 1904 r. Polski Związek Ludowy. Jego żywy rozwój dokonywał się na fali rewolucyjnej 1905—1907 r. Na apel SDKPiL skierowany w odezwie „Do braci włościan", chłopi stanęli do walki z caratem.

Województwo łódzkie, bogate w rewolucyjne wystąpienia robotników stanowiło również jeden z głównych ośrodków radykalnego ruchu ludowego. PZL posiadał tu swe placówki we wszystkich powiatach. Większość członków Zarządu Głównego PZL wywodziła się z naszego województwa. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego, a następnie Zarządu PZL, został Julian Stefan Brzeziński, z Piotrkowa Trybunalskiego. **Na podkreślenie zasługuje projekt reformy rolnej 299 chłopów z łowickiego,** ogłoszony w „Zagonie" — organie PZL — 30 marca 1907 r. Program głosił, że własność dworska musi ulec przymusowemu wywłaszczeniu za umiarkowanym odszkodowaniem. W województwie łódzkim zostały zainicjowane pierwsze zjazdy nauczycieli — członków PZL, którzy prowadzili walkę o polską szkołę. Chłopi — członkowie PZL — wysyłali żywność dla strajkujących robotników Warszawy i Łodzi. Po zlikwidowaniu PZL aktywni działacze skupili się wokół pisma „Zaranie" i kontynuowali pracę do 1915 r. Zaraniarze domagali się społecznej i politycznej emancypacji chłopów.

Po odzyskaniu niepodległości województwo nasze należało do jednych z niewielu, gdzie zostały zorganizowane Rady Delegatów Folwarcznych i Chłopskich. Godna uwagi jest też uchwała Zjazdu Wojewódzkiego Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" z 1925 r., domagająca się — wbrew programowi tego stronnictwa — wywłaszczenia obszarników bez odszkodowania. Spośród trzech głównych partii chłopskich, największym radykalizmem odznaczało się PSL „Wyzwolenie". W województwie łódzkim we wszystkich wyborach do parlamentu, do czasu zjednoczenia ruchu ludowego, w większym lub mniejszym stopniu przeważały wpływy „Wyzwolenia".

Województwo łódzkie w obecnych granicach zajmowało również **pierwsze miejsce w Polsce** pod względem liczebności kół i ilości członków oraz komitetów powiatowych Niezależnej Partii Chłopskiej, której program niewiele odbiegał od programu KPP. Po zdelegalizowaniu NPChł. wielu jej członków wstąpiło do Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej „Samopomoc", nawiązującego do założeń ideowych NPChł. W województwie łódzkim Zjednoczenie skupiało 40 kół, zrzeszających około 400 członków.

W latach trzydziestych Stronnictwo Ludowe i Łódzki Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici" liczyły około 30 tys. członków. Awangardową rolę odgrywał wówczas Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici". Okres powyższy charakteryzuje się radykalizacją programów oraz bardziej bojową postawą chłopów niż w poprzednich latach. Łódzki Związek „Wici" w 1935 roku uznał, że „prywatną własność musi być wywłaszczona bez odszkodowania". Na tym też zjeździe delegaci wysunęli idee zespołowej pracy na roli. Identyczny wniosek został zgłoszony przez grupę działaczy Łódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej na ogólnopolskim zjeździe „Wici", zwołanym w tym samym roku. Został on poparty tylko przez delegatów województwa krakowskiego. Jedną z form walki w tym okresie były strajki chłopskie, tzw. „strajki targowe". **W województwie łódzkim po raz pierwszy zorganizowano je w 1932, a następnie w 1933 roku. Coraz częściej dochodziło do współpracy między ruchem ludowym a partiami robotniczymi.** W Łowiczu w 1933 roku Powiatowy Komitet Stronnictwa Ludowego zawarł porozumienie z KPP w sprawie strajku chłopskiego. Organ KC KPP „Nowy Przegląd" z lipca—sierpnia 1932 roku donosił o udzielaniu pomocy przez ludowców strajkującym robotnikom w Piotrkowie, Pabianicach i Tomaszowie Maz. Włókniarze z Zelowa — członkowie KPP — brali udział w powiatowej konferencji „Wici" w Łasku, a delegacje robotnicze ze Zduńskiej Woli i Sieradza uczestniczyły w konferencji „Wici" w Sieradzu. Zarówno w Łasku, jak i w Sieradzu uzgodniono udział robotników w Święcie Ludowym. W niedługim czasie po śmierci Piłsudskiego rozpoczęła się kampania wyborcza do Sejmu. Wybory wyznaczono na sierpień 1935 roku. W rezolucji uchwalonej na obchodach Święta Ludowego w Górze Borowej 29 czerwca 1935 roku stwierdzono, że walkę o zmianę Konstytucji i niedopuszczenie do uchwalenia zaprojektowanej ordynacji wyborczej SL powinno prowadzić „wszelkimi prawnymi środkami". Natomiast Jan Woner, działacz SL z Piotrkowskiego, w grudniu 1934 roku powiedział, że „Jeżeli rząd nie pójdzie na ustępstwa... należy chwycić za cepy, kloce i kosy i przepędzić to wszystko na cztery wiatry".

Postawa działaczy ludowych w sprawie wyborów nie była jednolita. Różnice w poglądach występowały również w łonie zarządu wojewódzkiego. W niespełna miesiąc po nadzwyczajnym Kongresie SL, zajmującym się sprawą wyborów, grupa posłów i senatorów wystąpiła z SL i postanowiła przystąpić do wyborów. Na liście tej znalazło się wielu działaczy z naszego województwa. Trzeba dodać,

Poniatoszczak i psy

Dalszy ciąg ze str. 1

różowych marmurów i wziął kurs na muszlę koncertową, gdzie w niedziele i święta urządza się nuc ne koncerty. Czarny zabłądził w pobliże wypożyczalni rowerow i osrodka szkolenia motocyklistów.

Ich drogi przecięły się zatem.

Kiedy Rudy przyglądał się nieufnie dwóm pijakom, rozmemłanym w czerwcowym słońcu — Czarny patrzył z pobłażaniem na ludzką parkę, która całowała i ściskała się miłośnie pod osłoną krzaków.

Znaleźli się raptem na tej samej linii.

Rudy śledził wówczas młodą kobietę, kołyszącą w wózku różowe niemowlę, a Czarny obserwował pracownice w oranżowych kombinezonach, grabiące trawniki pod klombami róż i bratków.

Dojrzeli się wreszcie z oddali. Czarny, chociaż bielmo miał na lewym oku, pierwszy rozpoznał kolegę; ruszył mu naprzeciw; powoli, z godnością, maskując, jak się dało radość spotkania.

Trącili się nosami.

— Jak leci? — zapytał Rudy.

— W porządku.

— Jadłeś coś?

— Aha. Miałem niby szczęście. Znalazłem na schodach ogon wędzonego dorsza.

— A co z twoim brzuchem? — Rudy przyjrzał się bacznie kumplowi.

— Wtrząchnąłem na deser dwa surowe kartofliska i odęło mnie z lekka. Ciągle sobie powtarzam: nie tykaj, bracie, surowizny, ale jakoś nie mogę się powstrzymać. No, a co tam u ciebie?

— Dno — warknął Rudy. — Trochę trawy na torach skubnąłem. Nad ranem ktoś cisnął z pociągu kromkę razowego chleba, ale samym chlebem nie wyżyjesz...

— Pić mi się chce — powiedział Czarny.

Rudy wskazał łbem na staw, gdzie pławiły się łabędzie.

— Tieee — wykrzywił się Czarny. — To śmierdząca woda. No i gajus czyha z pejczem. Od małego nie lubię, żeby mnie kto okładał baciskiem po grzbiecie.

Rudy zaskowytał nagle, podskoczył do drzewa: otarł się mocno lewym, a później prawym bokiem o szorstką młodą korę, żeby uspokoić pchły. Czarny na ten widok też poczuł ostre swędzenie; już miał skoczyć do innego drzewa i powtórzyć manewr kolegi, ale bohatersko się powstrzymał, tamując w oczach łzy.

— W krzakach nieopodal rzeźni jest kałuża po wczorajszym deszczu — powiedział Rudy, kiedy mu przeszły swędy. — Piłem tam dzisiaj i woda jest całkiem w porządku.

— Idziemy? — zapytał Czarny.

— Możemy iść.

Znajdowali się teraz pomiędzy ogródkiem jordanowskim a kortami tenisowymi, które zimą zamieniają się w lodowisko. W ogródku panoszyły się wszechwładnie małolaty z papierosami w zębach, zaczepiali młode wagarujące dziewczyny, które z lubością odsłaniały na huśtawkach opalone uda. Na kortach furczały białe piłeczki, dzwoniły naciągi nylonowych rakiet — przyglądało się temu z tarasu kawiarni karazynowe towarzystwo, które nadjechało tu dla relaksu kawalkadą luksusowych samochodów. Badylarze, waluciarze, drobni szulerzy w otoczeniu swoich rozkapryszonych, barwnie przyodzianych maskotek, zabijali na świeżym powietrzu czas do obiadu, ostrząc smak na zawiesistą zupę, pecynkę mięsiwa i pierwszą lufę eksportowej wódy.

Rudy z Czarnym biegli szybko środkiem nakrapianej drobnymi kamykami alei. Nie przyznając się wszakże do tego — obaj kryli strach, niepokój, że zaraz z bramy kortów wyskoczy Kuba, spory, koślawy, wredny, zaczepny pies, z którym mieli na pieńku.

I Kuba, pilnujący tenisowych włości mieszaniec, przeciął im znienacka drogę.

— Czego tu chceta?! —wrzasnął srożąc duże, przymrużone z nienawiści oczy.

Czarny podwinął ogon i prysnął w krzaki. Rudy wystał dzielnie na miejscu.

— Każdemu chyba wolno biegać, gdzie mu się podoba — powiedział. — Na twój teren nie wchodzę.

— Jazda stąd! — warknął Kuba.

— Ale już!

Rudy odwrócił się pogardliwie. Wtedy Kuba ugryzł go w nogę i uderzeniem kosmatej łapy przewalił na wznak, ryjąc wściekle zębami w krótkiej kudłatej sierści.

— Chamie! — krzyknął Czarny, patrząc na to z krzaków. Przemógł bojaźń i ruszył Rudemu z odsieczą. Ucapił z całej siły zębiskami ogon Kuby. Ten zaskowytał przeraźliwie, odwrócił się pyskiem do nowego przeciwnika. W tej samej chwili Rudy zerwał się z ziemi i ugryzł Kubę w ucho. Potem pognali go razem, triumfalnie, aż do wrót klubu.

— Dziękuję — powiedział Rudy do Czarnego.

— Głupstwo — rzekł Czarny, ale było mu przyjemnie.

Znowu trącili się nosami.

— Ty, jak myślisz — zapytał Czarny — dlaczego on się tak wścieka?

Rudy namyślał się chwilę. Wreszcie:

— Może boi się o posadę? Jakby jego pan zobaczył takiego jak ja, to mógłby mu wymówić robotę i przyjąć mnie na etat pilnowacza tych różnych sportowych rupieci: rakiet, piłek i śmierdzących, przepoconych tenisowek. Na pewno jestem od niego lepszy, ładniejszy... Tu Rudy nadął się dumnie, wypiął pierś i łypnął bystro przekrwionym okiem.

— Ja chyba też nie jestem gorszy — syknął Czarny, dotknięty nieco w swej psiej godności. Wciągnął rozdęte brzucho i przykrył powieką bielmo na lewym ślepiu.

— Gorszy, to jasne, że nie jesteś — przytaknął Rudy. — No, ale wiesz, ja mam szlachetne pochodzenie. Mój ojciec do połowy był seterem, a w matce też było coś z rasowego pudla...

— I ja mam w sobie trochę rasy — zaperzył się Czarny. — Ojciec podobnież przypominał pinczerka!

— Do tego to się nawet nie przyznawaj — pouczył go Rudy. — Co jak co, ale pinczerek bracie, w tych stronach nie ma prawa!

Czarny zwiesił łeb, zasmucony. Spytał po chwili:

— Kto na świecie ważniejszy: pies czy człowiek?

— Jednakowo — powiedział Rudy. — Pies służy człowiekowi, a człowiek psu.

— A kto mądrzejszy?

— Pies.

— Eeee. — Czarny miał wątpliwości. Wskazał nosem w niebo: — Ludzie już tam dotarli.

— Gdzie? Na Słońce?

— Na Księżyc.

— I my tam w końcu dotrzemy. Zresztą... Łajka też latała w sputniku po kosmosie. Pomnik jej, bracie, za to postawili. Byle komu pomników nie stawiają. Tylko ludziom i psom.

— A koniom?

— Rzadko. No i konie nie mają swoich cmentarzy, jak na przykład ludzie czy psy we Francji. A w Anglii, to żem słyszał, że dla psów odprawuje się nawet kościelne nabożeństwa... Psy dostają nieraz medale.

— Na wystawach?

— Gdzie tam! Na wystawach paradują same przerasowane, gogusiowate półgłówki. Ja mówię o medalach za bohaterstwo.

— Aha. Coś słyszałem. Jeden kundel we Włoszech otrzymał medal od samego prezydenta. Za wierność. Przez dziesięć lat, dzień po dniu, chodził na przystanek autobusowy, skąd jego pan wyruszył na wojnę.

— To jeszcze nic — powiedział Rudy. — W Szkocji jednoroczny szczeniak ogrzewał przez dwanaście godzin małego chłopca, topielca. Pomyśl sobie: takie jednoroczne gówno, a miało dość rozumu, żeby chuchać, nacierać ze wszystkich stron smarkacza, aż go wreszcie odnaleźli rodzice.

— Jedna suka w Kanadzie — przebijał Czarny Rudego — obroniła czteroosobową rodzinę przed zamaskowanym, uzbrojonym w pistolet bandytą.

— Bardzo ładnie — zgodził się Rudy. — A co powiesz na to, że u nas, w Łodzi, jeden milicyjny, specjalnie tresowany pies, wdrapał się po płonącej drabinie do spalonego domu... Wtenczas nie miały już żadnych szans strażackie sikawy i gaśnice, i nie było ludzkiego ewaniaka, co by umiał się wskrabać na piętro, gdzie w kołysce dusiły się od dymu dwa ludzkie niemowlaki. Sprawa szła o sekundy. Matka zemdlała. Ojciec rzucił się w popielisko i walił bezradnie głową o zwęglone stropy. A ten pies, bracie, nie stracił zimnej krwi, porwał jedno z drugim za kołnierze, wskoczył na parapet, patrzy — drabiny już nie ma, opadła na ziemię do cna wypalona. Co robić? Zaryzykował skok. I to jaki! Skoczył na wszystkie cztery łapy, a pysk, w którym trzymał niemowlaki, zadarł tak wysoko, że one nawet nóżkami nie zawadziły o ziemię. Zostały odratowane, a on, Budrys na niego wołali, połamał wszystkie kości i lekarz musiał go humanitarnie uśpić.

Czarny z trudem powstrzymał łzy. Kiedy się trochę opanował, trącił Rudego nosem w ucho i zapytał:

— A co się dzieje z takim uśpionym psem?

— Ano, różnie gadają. Jedni, że idzie do raju, drudzy, że rozpada się w proch.

— Ja tam wierzę, że do raju — zaskamlał Czarny.

— A ja nie wierzę.

— To w co ty wierzysz?

— W nic. Pewien mądry facet napisał o nas, psach, w grubachnej książce: „Jedyną ich wadą jest to, że z człowieka robią Boga. Gdyby przeszły na ateizm, byłyby istotami idealnymi". Ja właśnie jestem takim cholernym ateistą.

— Bujasz! — powiedział Czarny. — Na pewno chciałbyś mieć pana.

— Skąd! — zaprzeczył Rudy, głośno, lecz nieszczerze.

Dobiegli akurat do tej kałuży w krzakach niedaleko rzeźni, skąd rozwłóczył się po parku żałosny ryk tkniętych przeczuciem zwierząt.

Czarny pił, a Rudy czekał spokojnie, żeby nie zbełtać kumplowi wody i dopiero później chlapnął trochę językiem.

— Dobra woda — pochwalił Czarny.

— Mówiłem...

— Teraz bym coś zjadł. Przydałaby się jakaś kość.

— Ehe — zgodził się Rudy. — Nigdy nie byłem od tego, żeby sobie pociukać przyzwoitą kość. Ale z drugiej strony, bracie, jak pomyślę o tych wszystkich krowach i świniach, to mnie czegoś żal. Łazi sobie takie po świecie, nikomu nie wadzi, a potem ludzie i psy ogryzają je z mięsa...

— Fakt — przytaknął Czarny. — Dziwny jest ten świat.

Obaj poczuli ulgę, kiedy w pobliskim kościele zabił wściekle dzwon, głusząc pomruk mordowanych zwierzaków.

— Każden się czegoś lęka — stęknął Czarny.

— Tak jest.

— Dusigrosze boją się wymiany pieniędzy.

— A psy, żeby nie powołano znowu do działania hyclów.

— Jednak dobrze mieć pana.

— Eeee.. Najlepsza jest wolność.

Czarny ślepił zazdrośnie na gromadkę rasowych i półrasowych czworonogów, hasających beztrosko pod opieką ludzi na zielonych, soczystych trawnikach. Akurat z Wytworni Filmów Fabularnych wybiegł na aleję parkową chłopak w kraciastej, flanelowej koszuli dźwigając na rękach małego boksera. Puścił szczenię na zielony trawnik, a ono zaczęło wkupywać się w łaski psiej czeredy, merdając śmiesznie przyciętym ogonem. Chłopak przysiadł na ławce, zapalił papierosa. Lubił ten park, największy w śródmieściu. Przychodził tu dzień w dzień nie wyłączając niedziel i świąt. Przyglądał się pęczniejącym drzewom, ludziom, którzy robili sobie po ciężkiej pracy wielkie oddychanie, dzieciakom, które znajdowały na polanach rzeźki powiew nadchodzących wakacji. Wyjął z kieszeni pęto serdelowej kiełbasy i przywołał szczeniaka. Bokser złapał co swoje i uskoczył na bok, pożerając mięso w kurzu drogi. Czarny z Rudym przyglądali się temu mrużąc pożądliwie ślepia. Chłopak przychwycił ich wzrok i cisnął im po kawałku. Zjedli. Czarnego przytłoczyło uczucie wdzięczności. Podszedł do chłopaka, przytarł się o nogawki welwetowych spodni, a tamten zaczął łechtać go po grzbiecie. Rudego kolnęła zazdrość. Przemógł nieufność i też podbiegł do chłopaka, wystawiając łeb do pogłaskania. Bokser, który był niewieściego pochodzenia, otarł się nagle o Czarnego w celach seksualnych. Czarny momentalnie się rozpalił, zdziczały mu oczy.

— No, dość wuefu! — powiedział chłopak, bo chciał zachować czystość gatunku. Porwał boksera na ręce i wrócił do wytwórni.

Rudy z Czarnym nie kryli żalu odprowadzając ich wzrokiem. Na pożegnanie trącili się nosami.

— Serwus — powiedział Czarny.

— Serwus. Do jutra.

I rozbiegli się do swoich kryjówek.

W bramie przy ulicy Gdańskiej Czarny zwinął się do snu rozmyślając o młodej bokserzycy.

Rudy przycupnął na legowisku przy torach.

— Mieć takiego pana... marzył, przywołując raz po raz ciepło człowieczej ręki. Nie czuł złośliwych pchlich ukąszeń ani bólu ran, które krwawiły jeszcze po zębiskach Kuby. Nie czuł nawet chłodu, który wzbierał pod wieczór, przywodząc na myśl piekło tułaczej zimy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ludowego

że ci, którzy wzięli udział w wyborach, zostali potępieni na zjeździe wojewódzkim SL, 26 stycznia 1936 roku.

Nie było też zbieżności poglądów w sprawie frontu ludowego. Jednakże mimo wahań, idea współpracy robotników i chłopów zyskiwała sobie coraz więcej zwolenników. Od początku 1935 roku konieczność sojuszu robotniczo-chłopskiego oraz frontu ludowego popularyzowało „Chłopskie Zycie Gospodarcze". W tym samym roku Wojewódzki Zjazd „Wici" domagał się zbliżenia chłopskich organizacji młodzieżowych do organizacji robotniczych.

W połowie maja 1936 roku Łódzki Zarząd „Wici" podjął uchwałę domagającą się zradykalizowania naczelnego organu związku. Zjazd Krajowy „Wici" zwołany 27 października 1935 roku powziął uchwałę o możliwości nawiązania kontaktów z młodzieżą robotniczą. Wspominała ona tylko o OM TUR. Jedynym ośrodkiem w Polsce, który uważał, że dokument ten pozwala na porozumienie z Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej był Zarząd Łódzkiego Związku „Wici". Zarządy obu organizacji ściśle współpracowały ze sobą. **Władze wojewódzkie SL i ZMW „Wici" utrzymywały też ścisłe kontakty z działaczami KPP. W lutym 1936 roku członkowie Łódzkiego i Lwowskiego Wojewódzkiego Związku „Wici" złożyli swe podpisy pod deklaracją „Praw Młodego Pokolenia".**

Wyrazem wspólnej działalności komunistów, socjalistów i ludowców było wydawanie „Dziennika Popularnego", propagującego front ludowy. W 1937 r. SL i „Wici" brały udział w obchodach 1 Maja, zaś PPS i OM TUR uczestniczyły w Święcie Ludowym i Święcie Czynu Chłopskiego.

Na Kongresie SL, 17 stycznia 1937 r., naczelne władze stronnictwa usiłowały za wszelką cenę utrzymać chłopski ruch opozycyjny w formach pokojowych i legalnych. Natomiast działacze radykalnej lewicy, do której należeli także łódzcy delegaci, za najbardziej odpowiednią formę walki z sanacją uważali ogłoszenie strajku chłopskiego. W tym czasie w ogniu atakow znalazła się łódzka grupa skupiona wokół „Chłopskiego Życia Gospodarczego". Zarząd Głowny w uchwale z 31 stycznia 1937 r. stwierdził, że „nie ma nic wspólnego z tym pismem". Władze sanacyjne energicznie przystąpiły do tępienia radykalnego ruchu ludowego.

W lutym 1938 r. na Kongresie SL podjęto rezolucję o przygotowaniu nowego strajku chłopskiego. Wniosek o jego proklamowaniu zgłosił Józef Włodarczyk — prezes Powiatowego Zarządu SL w Łowiczu. Po Kongresie, w województwie łódzkim rozwinięto na szeroką skalę propagandę strajkową. W powiatach upowszechniała się myśl, że celem strajku jest zdobycie władzy i utworzenie rządu chłopsko-robotniczego. Konstatują to raporty Łódzkiego Urzędu Wojewódzkiego. Organizowano straże porządkowe, wyznaczano potrójne zarządy na wypadek aresztowań. Przedstawiciele PPS wyrazili gotowość poparcia strajku. Ostatecznie strajk nie odbył się, ponieważ NKW ZSL podjął decyzję negatywną. W 1939 roku, podobnie jak w latach ubiegłych SL brało udział w obchodach 1 Maja, organizowało Święto Ludowe przy ścisłym współudziale PPS i OM TUR.

Klęska wrześniowa przerwała jawną działalność ruchu ludowego. Już w kilka dni po wkroczeniu okupanta młodzież wiejska przygotowywała się do walki z Niemcami. Pracę konspiracyjną najwcześniej podjęły te ośrodki, gdzie w okresie poprzednim aktywnie działały koła SL lub „Wici".

Wiosną 1940 roku powstało Wojewódzkie Kierownictwo Ruchu Ludowego pod kryptonimem „Roch", stanowiące kontynuację przedwojennego SL. Do walki zbrojnej ruch ludowy zorganizował Bataliony Chłopskie. Jednym z ogniw ruchu ludowego była również niepodległościowa organizacja kobiet wiejskich „Ludowy Związek Kobiet". Dużą rolę w konsolidacji chłopów wokół programu wysuniętego przez PPR odegrało SL „Wola Ludu", które stanęło na platformie sojuszu robotniczo-chłopskiego i ścisłego współdziałania z komunistami. W okresie okupacji było ono najbardziej radykalnym ugrupowaniem w ruchu ludowym. Dlatego ruch ludowy w decydującym momencie historii stanął w rzędzie rewolucyjnych sił budujących zręby Polski Ludowej. **SL „Wola Ludu" stało się współtwórcą Krajowej Rady Narodowej.**

Po wyzwoleniu wielu żołnierzy BCh przystąpiło do organizowania MO. Inni spośród nich włączyli się do pracy samorządowej i w różnych organizacjach gospodarczych. Ludowcy czuwali nad porządkiem publicznym, chronili majątek narodowy, brali udział w walce z podziemiem, w przeprowadzaniu reform społecznych. Z pewnością wkład ruchu ludowego byłby znacznie większy, gdyby nie rozbicie w Stronnictwie Ludowym. Powoli jednak zacieśniała się współpraca między SL i PSL, w wyniku której 26 listopada 1949 r. odbyły się krajowe zjazdy SL i PSL, a następnego dnia rozpoczął obrady Kongres Zjednoczeniowy.

Zjednoczone Stronnictwo Ludowe jest spadkobiercą radykalnych tradycji ruchu ludowego. Uznaje ono sojusz robotniczo-chłopski i przewodnictwo klasy robotniczej za zasadę budowy socjalizmu. Działalność samodzielnej partii chłopskiej stanowi jedną z cech polskiej drogi do socjalizmu. Warto podkreślić, że „Wytyczne do polityki rolnej" ze stycznia 1957 r. zostały opracowane przy czynnym udziale ZSL.

Ruch ludowy w Polsce, a w tym także w województwie łódzkim, był zawsze ruchem patriotycznym. Szczególnie ofiarna była walka ruchu ludowego o narodowe wyzwolenie w okresie okupacji.

Od chwili swego istnienia polityczny ruch chłopów walczył również o społeczne wyzwolenie chłopów. W okresie międzywojennym podstawowym jego celem była walka o Polskę Ludową jako państwo chłopów i robotników. Ruch ludowy zmuszał władze sanacyjne do realizacji niektórych reform społecznych i do pewnej aktywizacji w dziedzinie ekonomicznej. W czasie okupacji radykalny nurt w ruchu ludowym przyjął za podstawę swej działalności ścisłą współpracę z rewolucyjnym ruchem robotniczym.

Dzięki temu w Polsce Ludowej ruch ludowy mógł się włączyć do budowy i umacniania ustroju socjalistycznego.

Twórczość łódzkich nauczycieli

HENRYK CZARNECKI

Po dzwonku

Ludzie przesiani, posegregowani na klasy, ponumerowani w dzienniku. Tu i ówdzie kawałek już stopnia.

Część zdążyła już odejść, część nie przychodzi, większość jednak usiadła mocno w ławkach, zaparła się nogami, przytrzymuje rękoma. Oczy szeroko otwarte. Czekają... Będą ich grzmocić czy nie? I z której strony? Z przodu, czy z tyłu — znienacka?

Kąty też tylko cztery. Z tego dwa się nie liczą. Na koń cu. Szczelnie przylegają do nich ławki. Więc jeśli każą iść do kąta, to najwyżej dwom; nie jest tak źle.

Październik. Można rozluźnić napięte mięśnie. Zdjąć nogę z hamulca. Zupełnie bezpiecznie się jedzie. Nauka przy pomina działkę z grządkami, na której się wprawdzie kopie, podlewa, plewi, ale to wszystko w ramach relaksu. Kto wie, czy nawet w niedzielę nie przychodziliby chętnie do szkoły gdyby im kazano. Psiakrew! A syn w zeszłym tygodniu poszedł na wagary. Po co?

„Kochany Jarku. Jak tam u ciebie w budzie? Bo u nas fajnie. Stara od polskiego złamała nogę i przez dwa miesiące nie będzie jej w szkole" — pisała siostrzenica do jego syna.

Mimo woli zerknął na nogi profesorki — e, szkoda by ich było...

Nie tylko, że nikt ich tu nie dręczy, ale w dodatku wszystko w szkole ciekawe. Tematy wprowadzające w istotę przedmiotu bardziej cieszą niż męczą. Na chemii zaczynają rozbijać już atom. Ciekawe co za diabeł w nim siedzi, że dookoła tyle huku. Na historii też spacerują jesz cze turyści po antycznym Egipcie. Tu piramida, tam piramida. Tyle, że nie samolotem, ale zatłoczonym tramwajem trzeba będzie stamtąd wracać do domu.

Na polskim — przynieśli właśnie pieniądze na kolejną sztukę. Podobno jeszcze ciekawsza niż poprzednia.

Trochę gorzej z „Małym Kaziem". Ręka nie przywykła do rysunku. A tu trzeba rysować siatki drobne jak filtr powietrzny, wpisywać w nie litery, wykreślać cyrklem kół ka, robić rzuty na płaszczyznę. W domu żona dumna jak paw, ledwie się zapisał do szkoły, a już ma w chacie in żyniera. Nawet zagranicznego języka się chłop uczy.

Jeszcze tylko matematyka. Ułamki. Dotąd wydawało się, że to czarna magia. Wystarczy jednak stanąć za magikiem, popatrzeć mu na ręce i zaraz się coś skróci, wyrzuci i wynik gotowy.

Ale fajnie!...

W listopadzie nabrzmiewają już jednak żyły na skroniach. Człowiek głębiej się wciska w ławkę, żeby nie wypaść po drodze. Przybywa wciąż tych przyjemnych rzeczy i silnik zaczna pracować ciężko, by to wszystko uciągnąć. Zwłaszcza, że jeszcze na dotarciu.

Okazuje się, że wcale nie tak łatwo być w domu inżynierem, deska kreślarska zajmuje nie tylko połowę stołu, ale i trzy czwarte niedzieli. W wolną środę i sobotę ledwie się zdąży odrobić matematykę. Polonista wprawdzie nie wymaga znajomości trzech dodatkowych przypadków („wykopnik" — kto kogo, „intymnik" — kto z kim, „łapow nik" — za ile?) ale poprzednich siedmiu każe się jednak nauczyć. Te trzy były tylko na zachętę.

Także fotografie z antycznych krajów trzeba wreszcie ponumerować, dorobić objaśnienia, wkleić do albumu pamięci. I upchać to w głowie nogami jak kiszoną kapustę. Żeby pozostało jeszcze miejsce na sto tysięcy innych wiadomości ze świata i okolic.

Teraz dopiero rozpocznie się egzamin wstępny. Prawdziwy. Uczniowie egzaminują się sami. Jak w mechanice: próby na zginanie, wytrzymałość, wstrząsy. Umiejętność przeskoczenia przez samego siebie.

Kurczy się lista w dzienniku.

Tym, którzy pozostali — trzeba pomóc. Dodać odwagi. Pierwsza książka: „Stary człowiek i morze". Dyskusja. A może „Martin Eden" Londona? Niech odnajdą tam samych siebie. Jakąś cząstkę swego losu. Niech pokochają bohatera, wtedy nabiorą szacunku dla siebie. Nic nie otrzymuje się darmo. Ale i wszystko można przecież osiągnąć.

Jeszcze jedna klasówka. Jeszcze jedno dyktando. Jeszcze jeden wysiłek...

I pierwszy okres mają już za sobą.

To już jest coś. Coś, co osiągnęło się własnymi rękoma. Coś, co żal byłoby już stracić.

Rys. E. Inglot

HALINA SOBCZAK-JARMOŁOWSKA

Obrazek III z miasta

PONURAKOM

ulicą zwykłą
z kamiennych łat
chodzili ludzie
na drewnianych nogach
nieśli swoje
drewniane uśmiechy
patrzyli prosto przed siebie

aż kiedyś przeszła tą ulicą
dziewczyna
słońce niosła w oczach
a koty grały jej
na organkach
by tańczyła na brzeżku chodnika

wtedy rozejrzeli się dokoła
(ktoś nawet komuś rękę podał)
próbowaliby może zatańczyć
(już z zakłopotaniem dreptali)
ale dziewczyna zniknęła za rogiem

chwilę jeszcze gapili się
na uśmiechy odbite w witrynach
potem poszli
prosto przed siebie

i zdarza się od tej pory
że ktoś nagle zapląsa niezdarnie

JAN WRÓBEL

Prządce

snuje się droga
przyjaznych okien

babie lato
siwy włos
w alei spokoju

zegar odmierza
godziny wytchnienia

czerwone maki
nie muszą kwitnąć
na grobach

MICHAŁ DALECKI

Przeznaczenie

Drewno z dłoni wylęga ptakiem kwiatem
twarzą człowieka skrzypiec cienkim płaczem —
nie zliczyć wszystkich przemyślności drewna,
gdy kamień z wieku i sposobu bycia
kolumną raczej lub kolumny kształtem
w posąg bohatera:
kiedy herosa to na pewno z tarczą,
gdy olimpijczyka — z wawrzynem na karku,
jeżeli matką, to umarłą w skardze —
a jakie piękne w lipie strugane kołyski.

JAN REK

O krótkich filmach trochę dłużej

Jak zwykle o tej porze Kraków powitał zielonymi plantami Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych, imprezę, która ponoć — jak się powszechnie uważa — uchodzi za najpoważniejszą, po Oberhausen czy Mannheim — przy czym godzi się zauważyć, iż powszechność tej opinii nie myśmy sobie fundowali.

Siódmy to już raz jesteśmy świadkami wielkiego przetargu ambicji i talentów, dobrych zamiarów i nowatorskich poszukiwań w dziedzinie krótkiego metrażu, a usiłujących za wszelką cenę się zmieścić w szufladzie z napisem: Nasz Wiek XX.

W tegorocznym konkursie uczestniczyło 75 filmów z 28 krajów oraz 1 reprezentujący ONZ i 1 Berlin zach. Niektóre z nich rozciągały granice regulaminowego metrażu, niektóre były tak krótkie, że można było mieć wątpliwości czy jeszcze są filmami. Paradoksalne trochę, ale właśnie 1-minutowe dziełko animowane zrealizowane w Ja ponii przez Sadao Tsukiokę pt. „Gołąb i diabeł" było największym wydarzeniem artystycznym festiwalu. Ta historia gołąbka, co wysiadywał jajko, z którego potem wykluł się diabeł, pozornie tylko jest żartem. Bardziej zakrawa na filozoficzną przypowieść o różnych kolejach losu, jakie spotykają ludzkie intencje, i wyrasta z tej samej gleby co ongiś zdrowy i trzeźwy francuski racjonalizm. Główna nagroda Grand Prix, przyznana mu przez międzynarodowe jury pod wodzą Andrzeja Wajdy, w pełni satysfakcjonuje walory, jakie się mieszczą w tym małym, a tak głębokim utworze. Pamiętamy jednak doskonale o dewizie krakowskich spotkań, a zatem szukajmy filmów odważnie analizujących współczesność, analizujących samodzielnie i uczciwie, bez uciekania się do utartych rozwiązań i przetartych szlaków, bez podpierania się gromkimi hasłami, skądinąd słusznymi.

Szwajcar Robert Cohen, który podpisał swój utwór „Machiny", zaproponował ponurą wizję świata po III wojnie, świata bez ludzi, za to opanowanego przez samobieżne komputery, ale już nie tak nieomylne, jak za bytności człowieka. Myśl może nienowa, lecz oryginalna plastyka tego filmu, połączona z umiejętnie wykorzystanymi momentami ciszy tudzież muzyki konkretnej, zasługuje na uwagę. Stany Zjednoczone, od kilku lat będące terenem eksperymentalnych poszukiwań w zakresie nowej estetyki kina pod patronatem ruchu underground, przedstawiły m. in. reportaż polityczny „Dr Spock i jego dzieci", reżyserii Hermana Engela. Dokumentalny charakter zdjęć kręconych w salach wykładowych i na ulicach miasta zdaje się być wielkim tego filmu atutem: naturalizuje ekranową rzeczywistość tak bardzo, iż odsuwa na bok wszelkie posądzenia o inscenizację. Sylwetka Beniamina Spocka, sławnego pediatry i pedagoga, a przede wszystkim orędownika i organizatora walki o pokój w Wietnamie, który nieustraszenie odbywa z młodzieżą spotkania (narażając się na represje ze strony FBI i wymiaru sprawiedliwości) wzbudza niekłamany szacunek. Pewno i takowe uczucia miotały sumieniami jurorów, skoro obdarzyły utwór jednym ze „Srebrnych Smoków". A jednak ciężko się uwolnić od podejrzenia, że film ten ewokuje nie tyle słuszne racje dr Spocka i słuszny protest przeciwko bezprawiu, ile przymioty amerykańskiej demokracji, która zostawia wcale mały margines na sprzeciw skierowany w stronę oficjalnej polityki rządu. Engel nie tylko przecież pokazuje studentów słuchających przemówień Spocka, także i policjantów. Twórcy filmu mieli, być może, szlachetne zamiary. Niestety, zostały poza filmem. Podobnie z kubańskim utworem „Sto lat walki", reżyserii Barnabe Hernandeza (jemu także przypadł „Srebrny Smok"), który odwołując się do grafiki i plakatów, karykatur i fotografii, a nawet filmowych kronik, pokazywał stuletnią walkę narodu kubańskiego o wyzwolenie. Kinematografia kubańska, która od roku stała się wielkim objawieniem, zna bardziej dojrzałe artystycznie przykłady rewolucyjnego kina. Związek Radziecki zaprezentował m. in. subtelny dokument Ludmiły Stanukinas „Dzień przeprowadzki", odznaczający się — jak głosił werdykt jury — „ciepłem i szczególnie delikatnym stosunkiem reżysera do bohaterów filmu", przeprowadzających się do nowego mieszkania, zaś Francja m. in. „Jeszcze jeden dzień" 23-letniego Jean-Pierre Bonneau, obraz zwykłego dnia pracy piekarza ukazany z prostotą i dyskrecją — oba nagrodzone „Srebrnymi Smokami".

„Gołąb i diabeł"

A Polacy? Honoru rodzimego filmu animowanego znakomicie bronił Ryszard Czekała swoim „Synem" i otrzymał Nagrodę Specjalną „Złotego Smoka". Aczkolwiek refleksje, jakie utwór ten budzi, nie są tak odkrywcze i głębokie, jak w przypadku „Ptaka", którym przed dwoma laty debiutował, zgodzić się trzeba, iż forma graficzna tego dzieła jest przedniej marki. Wspomnieć koniecznie jeszcze trzeba o niedocenionej chyba „Podróży" Daniela Szczechury, gdzie pointą animowanej historyjki wyjazdu służbowego jest... brak pointy! No, i o francuskim „Arturze" Pascala Aubier, który swego bohatera wyposażył w marzenia, żeby być kimś innym, niż jest naprawdę: w czterech ścianach mieszkania-azylu, żyje on nie swoim życiem, utopijny czas pryska w rytmie codziennych zajęć biurowych. Gorzkie to spojrzenie na człowieka osaczonego kulturą masową XX wieku, która kompensując braki wielkości i siły daje w zamian złudę i pozór. Piękny i mądry to film, dobrze że skwitowany został nagrodą FOPRESCI.

I to wszystko, o czym warto z festiwalowych pokazów pamiętać.

JERZY SIEKIERSKI

Okno wystawowe światowej grafiki

Na krakowskich Plantach mało spacerujących. W dżdżystą, prawie listopadową wiosnę mało tu zakochanych par i wypoczywających emerytów. Dopiero przy Placu Szczepańskim — przy Pawilonie Wystawowym, przy starym budynku Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych — tłumy.

III Międzynarodowe Biennale Grafiki budzi zainteresowanie już przez sam fakt zgromadzenia ogromnej ilości prac z 57 krajów. Wbrew pozorom, liczby najbardziej, najdobitniej przemawiają do wyobraźni. Ale to nie tylko magia cyfr. Grafika ostatnio staje się modna, jej możliwości zdają się nieskończone. To już nie tylko tradycyjne, szlachetne techniki, drzeworyt, linoryt, akwatinta... Przychodzi z pomocą druk przemysłowy, tworzą się mariaże starych metod z technikami „fotografiopodobnymi", grafika przestaje być płaska — uzyskuje reliefową wypukłość, gra soczystą barwą.

A zatem grafika staje się modna i krakowskie Biennale staje się imprezą reprezentatywną — oknem wystawowym światowej grafiki. Doc. Wiktor Skulicz — komisarz Biennale — oświadcza: „Kiedy w roku 1965 przystępowaliśmy do organizowania w Krakowie Międzynarodowego Biennale Grafiki, z wielkim niepokojem oczekiwaliśmy ostatecznych efektów, które w odniesieniu do pierwszych ekspozycji przeszły nasze przewidywania. Trudno tu przesądzić, czy sukces ten zawdzięczamy trwającemu okresowi dynamicznego rozwoju tej dziedziny sztuki, czy sympatiom dla naszego kraju, czy w końcu założeniom naszego Biennale i sławie naszego miasta...".

Rzeczywiście trudno odpowiedzieć na te pytania, ale faktem jest, że do Krakowa przysłano kilka tysięcy prac z całego świata. A przecież tylko w ostatnich dwu latach Biennale Grafiki organizowano we Florencji i Bradford, w Bańskiej Bystrzycy i Liege. Można więc założyć, że „rynek ekspozycyjny" jest w jakiś sposób nasycony. A jednak Kraków wygrywa w tej konkurencji.

W salach wystawowych przy Placu Szczepańskim eksponuje się dziś 1200 prac — najlepszych z nadesłanych tysięcy. Oczywiście nie sposób spokojnie i systematycznie przejrzeć owe wystawy w ciągu jednego lub dwu dni. To nawet nie kwestia czasu, ale braku oddechu — widz wpada w niesłychaną feerię barw, technik i form — zaczyna dość szybko tracić świeżość spojrzenia, nakładają się na siebie wrażenia i fascynacje, sprzeciwy i wątpliwości...

Dużo mówi się ostatnio o grafice japońskiej — jednej z najbardziej efektownych i agresywnych plastycznie. Notuję wrażenie przeciętnego widza, nie profesjonalisty przecież, więc niech mi będzie wybaczona uwaga może zbyt kontrowersyjna. Prace Japończyków — choć nie tylko ich — mają w sobie coś z reklamy handlowej, z plakatu — są niesłychanie agresywne, kolorowe, przyciągają oko widza, są też na swój sposób piękne, ale czasem odnoszę wrażenie, że nie stoi poza tymi pracami nic, że żyją one wyłącznie mocą swych szalenie sugestywnych gierek i efektownych popisów technicznych, że są tylko popisem sprawności warsztatu.

Może się mylę, może nie dość uważnie, nie dość długo wpatrywałem się w te skądinąd piękne formy i kolory? A może i ten efekt, popis i sprawność wystarczą — może to piękno — samo piękno jest dostateczną legitymacją grafiki XX wieku, w którym nic nie wiadomo naprawdę?

Mimo wszystko jednak wolę posępne i tragiczne, tworzone w starych technikach prace Wejmana, Przybylskiego, Oldrzicha Kulchanka z Czechosłowacji, Gielniaka, grafików rumuńskich... Jest w tych pracach jakiś ludzki strach, jakieś przerażenie, jest pochylenie nad człowieczym losem, nad Dwudziestym Wiekiem...

Nie wartościuję, rzecz prosta, bo byłby to nonsens, ale tak właśnie odbieram na swój sposób tamte kolorowe plansze, tamte tłoczone w czerpanym papierze reliefowe efekty — i te proste, najczęściej czarno-białe plansze, za którymi pulsują ludzkie sprawy, przerażenia i niepokoje.

Ale i w tej dwoistości tkwi także sukces krakowskiego Biennale. Oddajmy znów głos komisarzowi doc. Wiktorowi Skuliczowi: „Biennale Grafiki w Krakowie stawia sprawy artystyczne jako zagadnienie fundamentalne i jedyne, niezależnie od różnorodnych postaw ideowo-twórczych, charakteryzujących dzisiejszą sztukę. Ideowa koncepcja tej imprezy jest jasna, i przejrzysta. Wyznaczają ją dwa równoległe piony nagród dla prac na temat „Człowiek i świat współczesny" i drugi — dla prac o tematyce dowolnej. W ten sposób stworzono optymalne warunki pełnej konfrontacji, zaprezentowania wszystkich postaw i kierunków artystycznych, możliwość uczestniczenia w dyskusji na temat spraw współczesnego świata, wyrażonych w elementach formalnych i treściowych eksponowanych dzieł. Być może ta właśnie atmosfera, wykluczająca jakiekolwiek tendencyjne działanie, stała się podstawą sukcesu krakowskiego Biennale".

Bo o sukcesie można mówić już dzisiaj — choć podstawowa ekspozycja przy Placu Szczepańskim czynna będzie jeszcze trzy miesiące. I choć nie wydano na czas zapowiedzianej publikacji „Grafika", choć na wystawach brakuje wciąż katalogów („Katalogi Biennale zaczynają zamawiać zagraniczni dystrybutorzy, a nawet osoby prywatne" — stwierdza Wiktor Skulicz) — to jednak można mówić o sukcesie także organizacyjnym.

Sukces artystyczny jest bowiem bezsporny. Krakowskie okno wystawowe światowej grafiki — daje możliwość obserwowania przemian zachodzących w osobowościach i formach poszukiwań twórczych współczesnego artysty. Daje nam wizję współczesnego świata — może nieraz przerażającą, ale wysokiej artystycznej próby.

Barbara Kwaśniewska, Francja Tarquinia (Necropoles) — akwaforta, 1969

Bohdan Kamiński

Dnia 23 kwietnia br. zmarł nagle w Warszawie wybitny plastyk Bohdan Kamiński. Był łodzianinem. Tu się urodził, tu kończył szkołę średnią, tu rozpoczynał studia. W roku 1955 kończy z odznaczeniem Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie.

Zainteresowania Bohdana Kamińskiego i jego możliwości twórcze były wszechstronne. Uprawiał malarstwo, ilustrował książki i czasopisma, zajmował się ceramiką. Największą jego pasją był jednak jeden tylko temat — jeździec i koń. Był znawcą hippologii, kostiumu wojskowego, militariów. W licznych filmach był doradcą i konsultantem w tej dziedzinie. Niejednokrotnie sam występował w epizodach jazdy, szarży, batalii.

Bohdan Kamiński był autorem projektów kilku serii znaczków pocztowych nie tylko polskich ale m. in. dla Królestwa Jemenu. Projektował plakaty. Nagła śmierć przerwała pracę nad nową serią znaczków polskich o ulubionej przez Niego tematyce — „Rycerstwo Polskie". Odszedł w pełni sił twórczych przeżywszy zaledwie lat 41. Był uosobieniem radości życia, optymizmu, pasji twórczej. Odszedł żegnany przez znajomych i kolegów, przedstawicieli środowisk twórczych, związków jeździeckich, instytucji z którymi współpracował, grupę starych przyjaciół z Łodzi.

J. G.

Przeszłość i teraźniejszość

Historyczna monografia stolicy

NAZWISKO autora tej książki znamy dobrze. Odnajdujemy je pośród tych polskich historyków, których powołano do grona pierwszych „wykładających" (tak brzmiał ich oficjalny tytuł) w odrodzonym w 1915 roku Uniwersytecie Warszawskim. Obok znawcy historii starożytnej, Michała Kreczmara, mediewisty Kazimierza Tymieniec kiego, prawnika z formacji a historyka średniowiecza i czasów nowożytnych, Marcelego Handelsmana, wykładał tam także Kazimierz Konarski. Nie czuł się jednak dobrze w uniwersyteckiej todze, więc rychło, już w roku następnym, opuścił z własnej woli uczelnię. Rzucił się w wir pracy niepodległościowej, tak jak wielu z jego pokolenia, aby niebawem zająć spokojniejsze miejsce w państwowej służbie archiwalnej.

Wieloletni dyrektor Archiwum Głównego Akt Dawnych K. Konarski znany jest specjalistom jako autor rozpraw o Polsce przed odsieczą wiedeńską, o dziejach szkolnictwa w Królestwie Polskim, prac o dziejach stolicy. Szersze kręgi czytelników znają go przede wszystkim jako autora poczytnych powieści dla młodzieży. Jest on uczonym i pisarzem, łączącym zalety pierwszorzędnego warsztatu naukowego z walorami pióra beletrysty. Jest przede wszystkim badaczem dziejów Warszawy i jej to właśnie poświęcił swoją ostatnią, najobszerniejszą książkę.

Otwieramy opatrzony jego nazwiskiem przepięknie wydany opasły tom pod tytułem „Warszawa w pierwszym jej stołecznym okresie", który ukazał się właśnie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego (1970) i od razu zniknął z półek księgarskich.

Znakomita to książka. Autor dał swym czytelnikom do ręki obszerne kompendium wiedzy o Warszawie w epokach Renesansu, Baroku i Oświecenia. W dziewiętnastu rozdziałach zamknął olbrzymią sumę informacji o mieście, o jego ludziach i i ich kulturze. Takie książki pisywali niegdyś miłośnicy swojego miasta i jest Kazimierz Konarski niechybnie takim właśnie miłośnikiem młode, niepokonane miasto. Czy jest w Europie miasto, które by przeszło przez tyle klęsk, wstrząsów, kataklizmów co Warszawa, miasto palone od brzegu do brzegu, rabowane, grabione, z wściekłością wyrywane przez wroga z korzeniami z rodzinnej gleby, a jednak miasto, które po każdym ciosie odżywa piękniejsze, niż było.

Żywotność, rozmach życiowy to najistotniejsza cecha Warszawy, gwarancja wielkiej przyszłości, ku jakiej idzie nasze miasto, nasza stolica".

Osobliwa to książka. W lecie r. 1936 — pisze autor — zwrócił się do mnie dyrektor Archiwum Miejskiego m. st. Warszawy, mjr Adam Englert, z propozycją napisania historii Warszawy. Miała to być monografia miasta, pisana z inicjatywy i na zamówienie Zarządu Miejskiego, którego mjr Englert był nieoficjalnym na razie przedstawicielem. (...) W styczniu 1937 r. zawarłem w tej sprawie formalną umowę z Zarządem Miejskim, w marcu tegoż roku odbyło się pierwsze posiedzenie komitetu redakcyjnego. (...) Zbieranie materiałów zaczął em od wczesnej jesieni 1936 r." A więc książka, która leży przed nami, jest rezultatem zamówienia sprzed przeszło trzydziestu lat!

W 1938 r. przystąpił K. Konarski do pisania pierwszych rozdziałów swego dzieła. „W lipcu 1944 r. kończyłem rozwój terytorialny, brakowało mi już tylko rozdziałów dotyczących ustroju miasta i jego gospodarki finansowej. Brulion i większość notatek miałem w biurze w Archiwum Akt Dawnych, czystopis i resztę notatek w domu."

Z powstania warszawskiego ocalał jedynie przepisany już na czysto egzemplarz ukończonej części książki, przepadła natomiast cała dokumentacja. Z fragmentów zachowanych wypisków podjął teraz autor trud rekonstrukcji blisko półtora tysiąca przypisów, dokumentujących książkę. Pracował nad tym do wiosny 1949 roku. Wówczas jednak nie było już mowy o wydaniu tego dzieła. Kiedy w 1966 roku powstała możliwość jego publikacji, K. Konarski raz jeszcze powrócił do dawnego tekstu, aby z pomocą syna nadać mu ostateczny kształt. „Ostateczna redakcja tej pracy została zakończona w marcu 1968 r." — mógł wreszcie napisać w ostatnim zdaniu przedmowy.

Osobliwa to książka. Na skrzydełku obwoluty wydawca napisał, że jej „dramatyczne dzieje wiernie odpowiadają losom naszej stolicy". To prawda. Czytając dzieło Kazimierza Konarskiego pamięć podsuwa nam postać innego znakomitego badacza dziejów Warszawy, jedynego z przedstawicieli warszawskiej szkoły historycznej z drugiej połowy ubiegłego stulecia, który doczekał się uniwersyteckiej katedry w niepodległej Polsce — Władysława Smoleńskiego. Jest w ostatnim dziele K. Konarskiego wiele z najwspanialszych tradycji naszej historycznej varsavianistyki.

Osobliwa to książka. Admiratorzy zamorskich nowinek skrzywią się pewnie, że napisano ją tak, jakby nie istniały żadne strukturalizmy i inne jeszcze izmy. Bo została napisana tak, jak to dawniej pisano u nas historię. Czyżby była ostatnią u nas książką skreśloną tak właśnie, jak to niegdyś o dziejach naszych pisano?

JÓZEF GRZELAK

PROF. DR WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

Reportaż filmowy przez dziurkę od guzika

POTWIERDZIŁY się przypuszczenia, że filmowa dokumentacja ruchu oporu w kraju mogła być dokonywana przez filmowców-amatorów dysponujących kamerami 16 mm. Dowodem tego jest fakt realizacji filmów konspiracyjnych i partyzanckich na terenie województwa krakowskiego.

Niedawno zostały ujawnione cztery filmy dokumentujące działalność oddziałów partyzanckich i akcję podziemną na terenie Krakowa. Autorem ich jest mgr inż. Tadeusz FRANISZYN (ps. Jagoda), były członek AK, który w czasie okupacji działał w Biurze Informacji i Propagandy AK okręgu krakowskiego.

Tadeusz Franiszyn w lipcu 1944 roku otrzymał z Dowództwa AK Okręgu Kraków polecenie sfilmowania Zgrupowania Partyzanckiego „Kamiennik" w obwodzie myślenickim. Zadanie wykonał kamerą 16 mm.

Filmem, po amatorsku, zajmował się trochę przed wojną, do czasu otrzymania rozkazu, dokumentować zbrodnie hitlerowskie i ruch oporu — nie trzymał w ręku kamery.

Filmy dotyczące zbrodni hitlerowskich w Krakowie zrealizował na własną rękę, nie czekając na polecenie, prócz tego, także z własnej inicjatywy, zarejestrował na taśmie 8 mm ruchy wojsk niemieckich przechodzących przez Kraków w lipcu 1944 roku ze wschodu na zachód ulicami: Starowiślną, Westerplatte, koło Dworca Kolejowego, Basztową i Dunajewskiego w kierunku Bronowic.

Oto, w skrócie, opis filmów Tadeusza Franiszyna, które przechowały się i świadczą dziś o faktach filmowej dokumentacji zbrodniczej działalności hitlerowskiego okupanta w Polsce oraz o działalności oddziałów partyzanckich.

1.

W ZWIĄZKU z wybuchem Powstania Warszawskiego Niemcy, obawiając się przerzucenia walk zbrojnych również na Kraków, celem zabezpieczenia się, dokonali w dniu 6 sierpnia 1944 roku, ogromnej obławy na ulicach miasta, nazwanej przez mieszkańców — czarną niedzielą. Zatrzymano wówczas w Krakowie około ośmiu tysięcy ludzi, nie biorąc pod uwagę przy aresztowaniu żadnych dokumentów. Zabierano przede wszystkim mężczyzn. Prócz łapanki ulicznej, pod czas której wyciągano ludzi z tramwajów, dokonano także aresztowań w domach, sklepach, wyciągano ukrywających się z piwnic, strychów i innych pomieszczeń.

Zatrzymanych Polaków odsyłano do punktów zbornych. Były nimi przeważnie dzielnicowe komendy Schutzpolizei. Tam aresztowanych załadowywano do uprzednio przygotowanych samochodów ciężarowych i wywożono do więzienia przy ul. Montelupich lub do obozu koncentracyjnego w Płaszowie.

Jednym z punktów, dokąd doprowadzano zatrzymanych była komenda Schutzpolizei przy ul. Franciszkańskiej, naprzeciwko kościoła franciszkanów. Zatrudnionych w tym punkcie było około 100 esesmanów, którzy bacznie obserwowali cały przyległy rejon.

Tadeusz Franiszyn sfilmował akcję tego punktu kamerą 16 mm, którą umieścił sobie pod płaszczem specjalnie w tym celu włożonym, kręcąc przez dziurkę od guzika. Stał na ulicy w odległości 5—10 metrów od budynku Komendy Schutzpolizei. Umożliwili mu akcję nakręcenia filmu dwaj żołnierze Wehrmachtu, których ojciec — znajomy T. Franiszyna z czasów pobytu na ziemiach wschodnich — podpisał listę volksdeutschów, a oni znaleźli się w lecie 1944 roku w zapasowym batalionie w Cichym Kąciku w Krakowie. Za wyświadczenie im pewnej przysługi zgodzili się asystować przy zdjęciach prowadząc ożywioną rozmowę po niemiecku. W danym przypadku trzeba było zachować daleko idącą ostrożność, toteż Tadeusz Franiszyn rychło wycofał się do kościoła, gdyż esesmani mogli zwrócić w końcu nań uwagę.

Na ulicy, w tej krótkiej chwili, zdołał on jednak nakręcić następujące sceny: widok budynku komendy Schutzpolizei, auta ciężarowe stojące przed budynkiem, grupy esesmanów doprowadzające zatrzymanych Polaków do samochodów, zatrzymane przez Niemców tramwaje, z których wyciąga no jadących.

Po wycofaniu się z ulicy, Tadeusz Franiszyn usiłował przez szybę bramy wyjściowej kościoła franciszkanów kontynuować zdjęcia, ale złe warunki techniczne nie dały pozytywnych rezultatów.

Tak powstał pierwszy konspiracyjny reportaż filmowy — „CZARNA NIEDZIELA W KRAKOWIE".

2.

WIĘKSZYM reportażem był kolejny film Tadeusza Franiszyna zrealizowany w Zgrupowaniu Partyzanckim Myślenickiej Komendy Obwodu AK „Kamiennik".

Grupa oddziałów partyzanckich obwodu myślenickiego, kryptonim „Kamiennik", której dowódcą był ppor. Wincenty Horodyński (ps. Kościesza), wraz z drugą grupą, kryptonim „Podhale", dowodzoną przez ppor. Stanisława Gaczoła (ps. Nawara), a potem przez por. Jana Zienkowicza (ps. Siekierza) — były wielkim zgrupowaniem oddziałów partyzanckich. Dowodził nim mjr Aleksander Mikuła (ps. Orion). Stanowiło ono część 6 dywizji piechoty AK, znajdującej się pod komendą płka dypl. Wojciecha Wajdy (ps. Odwet).

W skład grupy „Kamiennik" wchodziły następujące oddziały partyzanckie: „Pościg", „Prąda", „Odwet", „Śmiały", „Policyjny", „Szkoleniowy" i inne. Razem około 500 ludzi. Rozlokowane one były między innymi na wzgórzach Łysiny, Kamiennika i innych w gminach Wiśniowskiej, Raciechowickiej i części Myślenickiej. Niemcy, małymi grupami, nie odważyli się pojawiać na tych terenach.

Na rozkaz dowódcy okręgu krakowskiego AK do tego Zgrupowania udał się w dniu 31 sierpnia 1944 roku Tadeusz Franiszyn z zadaniem zrealizowania reportażu filmowego z życia obozowego i z uroczystości poświęcenia sztandaru ufundowanego partyzantom przez okolicznych mieszkańców.

„Zgłosiłem się tegoż dnia w godzinach popołudniowych u dowódcy Grupy „Kamiennik" — ppor. „Kościeszy", którego kwatera mieściła się na górze Łysina. Zapoznałem go z rozkazem, jaki otrzymałem, uzgodniłem z nim co zamierzam wykonać, na tym zakończyliśmy wstępną rozmowę. Byłem tam do 4 września 1944 r. i robiłem filmy o takiej treści, aby utrwalić i zachować nastrój i prawdziwe życie oddziałów partyzanckich AK w tych ciężkich latach okupacji hitlerowskiej. Dowódca „Kościesza" do pracy mojej nie mieszał się, pozostawiając mi wolną rękę". Tak o tym opowiada dziś autor filmu.

W ciągu kilku dni pobytu Tadeusza Franiszyna w Zgrupowaniu „Kamiennik" powstał reportaż filmowy pt. „ZGRUPOWANIE PARTYZANCKIE „KAMIENNIK", złożony z czterech części (po 30 metrów każda rolka), zrealizowanych również kamerą 16 mm.

Oto treść poszczególnych części:

1) Ogólny widok wzgórz Łysiny i Kamiennika widzianych z Glichowa, dwóch chłopaków 6—7-letnich, uzbrojonych w łuki na podwórku domu ich rodziców, ćwiczenia oddziału partyzanckiego, życie obozowe partyzantów (roboty ogólne, strzyżenie włosów, czyszczenie broni ręcznej i maszynowej).

2) Obiad: wydawanie i spożywanie posiłku, kapliczka polowa na ścieżce u stóp wzgórza Łysiny, mycie się partyzantów przy źródle, zajęcia partyzantów na stoku wzgórza Łysiny, stacja łączności radiowej na Łysinie, ćwiczenia żołnierskie, patrole, warta i jej zmiana, posterunek na szczycie wzgórza Łysiny.

3) Raport na szerokiej leśnej polanie u stóp wzgórza Łysiny, na którym ustawiono ołtarz i gdzie zgrupowały się oddziały partyzanckie, przegląd poszczególnych jednostek, widok z góry w czasie nabożeństwa, poświęcenie sztandaru Zgrupowania Oddziałów Partyzanckich „Kamiennik", wręczenie sztandaru oddziałom, przemarsz pocztu sztandarowego.

4) Biwakowanie, goniec z meldunkiem, narada sztabowa, zbiórka oddziału, raport, wysłanie patrolu ubezpieczającego, wymarsz całego oddziału do akcji, odjazd autem komendanta obwodu.

Film ten był obrazem życia oddziałów partyzanckich i ćwiczeń przez nich przeprowadzanych.

3.

WOBEC zbliżania się frontu wschodniego do linii Bugu i Wisły, Niemcy w lipcu 1944 roku rozpoczęli na przedpolach Krakowa przygotowywanie umocnień obronnych, budowanie bunkrów, kopanie rowów przeciwczołgowych itp. W samym Krakowie zaczęli minować co ważniejsze budynki. Na wylotach ulic wchodzących do Rynku Głównego, koło gmachu Poczty, na skrzyżowaniu ulic Grodzkiej i Franciszkańskiej oraz w innych newralgicznych punktach miasta o znaczeniu strategicznym, ustawiono pionowe żelbetowe słupy, podminowane od dołu. Wysadzenie ich powodowało, że kładły się wówczas poziomo w poprzek ulicy tarasując przejazd czołgom i innym pojazdom mechanicznym. Nadto parterowe okna niektórych budynków narożnych zostały zamurowane z pozostawieniem w nich otworów dla działek lub karabinów maszynowych.

Te przygotowania obronne sfilmował Tadeusz Franiszyn w dwóch terminach, stojąc na chodnikach poszczególnych ulic i placów oraz z przejeżdżających przez te ulice tramwajów, również w pozycji stojącej.

We wrześniu 1944 roku obiektem jego zdjęć były słupy przy Teatrze Starym, u wylotu ulicy Szczepańskiej, u wylotu ulic Szewskiej i Brackiej, następnie przy skrzyżowaniu ulic Grodzkiej i Franciszkańskiej oraz okna w budynkach na roku ulicy Szczepańskiej i Rynku Głównego, w gmachu komendy Schutzpolizei przy ulicy Franciszkańskiej.

W dniu 17 stycznia 1945 roku — słupy u wylotu ulicy Lwowskiej.

Omówione wyżej zdjęcia złożyły się na reportaż filmowy pt. „UMOCNIENIA W KRAKOWIE".

4.

SPEŁNIAJĄC swoje zadanie sfilmowania filmem poczynań hitlerowców i ich zbrodni na ludności polskiej — Tadeusz Franiszyn dokonał zdjęć obozu koncentracyjnego w Płaszowie pod Krakowem przed jego likwidacją. Udał się sam, bez żadnej osłony w dniu 25 września 1944 roku na teren przylegający do obozu. Zaszedł na tył obozu, który był równoległy do frontu ciągnącego się wzdłuż głównej szosy Kraków — Prokocim — Bieżanów.

Tam, w pozycji stojącej i wchodząc na drzewo, zrobił następujące ujęcia filmowe w granicach odległości od drutów kolczastych obozu 10—50 metrów: wieżyczki ze strażnikami na nich, ogrodzenia z drutów kolczastych, tablice z napisami w języku niemieckim ostrzegające przed wystawaniem przy drutach, robieniem zdjęć obozu pod karą śmierci oraz więźniów na terenie samego obozu chodzących grupami za ogrodzeniem z drutów kolczastych.

Tadeusz Franiszyn nie rozporządzał teleobiektywem, toteż nie spotkamy w jego zdjęciach żadnych zbliżeń ludzi ani przedmiotów.

W dniu 17 stycznia 1945 roku, już po wywiezieniu w dniu poprzednim więźniów z Płaszowa, Tadeusz Franiszyn zrealizował jeszcze raz zdjęcia obozu mając jako osłonę dwóch „granatowych" policjantów będących członkami AK. Tym razem filmował już z frontu i z odległości 5—10 metrów od ogrodzenia z drutów kolczastych. Wykonał następujące ujęcia: ogrodzenia z drutów kolczastych, tablice ostrzegawcze z napisami jak poprzednio, widok wieżyczek, ale już bez strażników.

Był to czwarty reportaż filmowy pt. „OBÓZ KONCENTRACYJNY W PŁASZOWIE".

18 i 19 stycznia 1945 roku wojska radzieckie wyzwoliły Kraków.

W następnym numerze **„ODGŁOSÓW"**:

- Przed nowym rokiem szkolnym — rozmowa z kuratorem Okręgu Szkolnego m. Łodzi mgr **HENRYKIEM GRENDĄ.**
- **W. JAŻDŻYŃSKI** i **J. KOPROWSKI:** Dwugłos o Czechosłowacji
- **RYSZARD BINKOWSKI** — Cygańskie noce, oraz recenzje, felietony, nowela.

ARKADIUSZ KŁOS

Odwiedziny z kosmosu

Od szeregu lat rozlegają się na świecie głosy o możliwości wizyt gości z wszechświata na naszej planecie. I to zarówno w przeszłości, jak i całkiem niedawno. Szczególnie interesujący materiał przyniosło badanie starych legend i mitów.

Spróbujmy zająć się zbiorem legend i opowieści narodów osiadłych przed tysiącami lat na terenach wokół Morza Martwego. W Starym Testamencie jest opowieść o Locie, Sodomie i Gomorze. Do Lota przybyli „aniołowie" z następującym ostrzeżeniem:

„Zachowaj duszę twoją; nie oglądaj się ani nie pozostawaj we wszystkiej krainie; albo na górze zachowaj się, byś i ty pospołu nie zginął...".

Ostrzeżenie to związane było z mającą nastąpić zagładą miasta rodzinnego Lota.

Legenda ta mówi o niebiańskim pochodzeniu przybyszów. Opis słupa dymu, ognia i zniszczenia może pasować do opisu startu rakiety kosmicznej. Jej załoga ostrzegała niewątpliwie mieszkańców z okolicy lądowiska o niebezpieczeństwie, jakie im grozi podczas startu rakiety.

A oto jeszcze inne legendy z tego samego rejonu. W roku 1947 w jednej z jaskiń Antylibanu odkryto bardzo ciekawe rękopisy. Pełno w nich legend, lub raczej wzmianek o istotach, które przybyły z kosmosu na Ziemię oraz o ludziach, którzy uniesieni zostali do nieba.

„Ci, którzy spadli z nieba, byli na ziemi w owych dniach i później, kiedy przychodzili synowie Boga...".

„I przyjaźnił się Enoch z Bogiem, i nie było go, bowiem Bóg go zabrał do siebie...".

Legenda o podróży Enocha jest chyba najciekawsza. Ona właśnie świadczy najdobitniej o podróżach Ziemian w przestrzeń kosmiczną.

A teraz sprawa tarasu w Baalbeck. Znajduje się on w jednej z dolin w górach Antylibanu, niedaleko Bejrutu. Jest to płyta, zbudowana z olbrzymich bloków kamiennych. Niektóre z nich ważą po kilkadziesiąt milionów kilogramów. Wiele z nich ma ponad dwadzieścia metrów długości. Jak teraz w związku z tym odpowiedzieć na następujące pytanie: Jak zdołano poruszyć takie głazy? A oto jeszcze dziwniejsze: Jak zgromadzono je i ułożono w równą płytę? I po co?

Dopiero w ostatnim okresie dano jedyną możliwą odpowiedź na to pytanie. Byłoby to pole startowe dla pojazdów kosmicznych. Świadczyłyby również o tym znalezione rękopisy. Przybysze z kosmosu, którzy tam wylądowali, mogli zabrać przedstawiciela Ziemi, Enocha, w podróż kosmiczną.

Wilhelm Koenig twierdzi, że kamienne płytki znalezione w Iraku i eksponowane w państwowym muzeum w Bagdadzie, są częściami baterii elektrycznych, zbudowanych w tym samym okresie, kiedy powstał baalbecki taras i rękopisy z Antylibanu. W rumowisku jednej z babilońskich jaskiń, w na wpół rozsypanych tabliczkach znaleziono zapisy kosmicznych dróg, jakie Wenus opisywała w stosunku do Ziemi, przed trzydziestu tysiącami lat.

Na Saharze w Tasili i w Zabbarenie znaleziono dziwne wizerunki postaci z kulistymi głowami. Przypominają one, a nawet są prawie identyczne z wyglądem dzisiejszych kosmonautów. Chodziło więc o nic innego, jak o sportretowanie dawnych astronautów w hermetycznych skafandrach z hełmem chroniącym głowę.

Podobne rysunki znaleziono w Chakaskim Obwodzie Autonomicznym w ZSRR, u podnóża Ałtaju. Archeologowie radzieccy datują je na ten sam okres, co baalbecki taras i rękopisy z Antylibanu.

Wśród podań i mitów narodów Mezopotamii spotykamy nadzwyczaj realistyczną legendę o podróży Etany (jednego z władców) do nieba. Legenda ta powstała ponad cztery tysiące lat temu i została zapisana na glinianej tabliczce.

Etana zwrócił się do boga słońca (Szamasza), pytając go o to, jak można zdobyć „trawę życia". Bóg poradził mu udać się po nią do nieba. Etana poleciał więc ku gwiazdom.

W czasie lotu widział jak zmienia się obraz Ziemi. Najpierw „Ziemia wyglądała jak góra, a morze jak rzeczny potok". Po wielu, wielu godzinach lotu zobaczył, że nasza planeta wygląda „jak dysk księżyca", potem „jak okrągły

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

Łódzkie inicjatywy

Niegdyś plener oznaczał wypad malarzy za miasto w poszukiwaniu tematu oraz bezpośredniego kontaktu z naturą, obecnie ma on z reguły charakter zorganizowanych akcji kulturalnych o różnorodnym i bogatym programie. Są to imprezy o szerokim oddziaływaniu kulturotwórczym, inicjatywy ściślejszego powiązania plastyki z innymi dziedzinami ludzkiej działalności, z nauką, techniką, przemysłem. Tak więc ten nienowy przecież typ imprez wzbogacony o nowe funkcje, zyskał sobie rangę wydarzeń kulturalnych ważnych i reprezentatywnych dla rozwoju życia artystycznego w kraju.

Łódzki Zarząd Okręgowy Związku Polskich Artystów Plastyków podjął przed kilkoma laty akcję organizowania plenerów twórczych w oparciu o nowe formy mecenatu społecznego (poparcie Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych). Łódzkie plenery pomyślane zostały, jako spotkania mające na celu połączenie pracy twórczej malarzy z wystąpieniami teoretycznymi krytyków i teoretyków sztuki. Chodziło także o integrację środowiska plastycznego z innymi środowiskami twórczymi, aktywizację twórczą artystów oraz szersze ich zainteresowanie aktualiami życia. Z drugiej zaś strony poprzez bezpośredni kontakt artysty i jego dzieła z odbiorcą, poprzez spotkania malarzy ze społeczeństwem, plenery w najszerszej formie upowszechniają sztukę i wiedzę o sztuce wśród społeczności mniejszych ośrodków miejskich. Ubiegłoroczny V Ogólnopolski Plener Ziemi Łódzkiej odbył się z kolei w Sieradzu. Uczestniczyli w nim reprezentanci rozmaitych środowisk twórczych, między innymi Marek Sapetto z Warszawy, Ryszard Skupin z Poznania, Lucjan Mianowski z Krakowa. Wśród twórców łódzkich znaleźli się tak popularni artyści jak Konstanty Mackiewicz, Benon Liberski, Ireneusz Olszewski, Andrzej Szonert, Barbara Szajdzińska-Krawczyk, Jerzy Derkowski.

Owoce pobytu w Sieradzu, prace eksponowane na poplenerowej wystawie (Ośrodek Propagandy Sztuki, park im. Sienkiewicza), przy podobnych założeniach tematycznych ujawniły ostro odrębności w „sztuce widzenia" i postawach twórczych malarzy. W większości jednak przypadków prace uczestników wystawy da się odnieść do nurtu realistycznego, to znaczy w bezpośrednim zetknięciu z pejzażem powstawały jego artystyczne interpretacje, mieszczące się jednak w konwencji realistycznej. Przyjrzyjmy się bliżej obrazom świata, jakie zaprezentowali widzom uczestnicy pleneru.

Prace Marka Sapetty potwierdzają dotychczasowy kierunek poszukiwań i odkryć tego artysty. Zarówno technika, czysto malarska robota, jak i przedmiotowa, materialna strona wydarzenia, które płótno prezentuje, są jedynie zaznaczone. W jego „Wnętrzu" uderza ulotność, migawkowość ujęcia i prezentacji. Obok wyraźnie czytelnych, pozornie przypadkowych przedmiotów dostrzegamy nic nie oznaczające plamy, kleksy, zygzaki. Lecz bez trudu spostrzec można, że kolory zestrojone są w plamy z takim malarskim wyczuciem, że wydają się błyskotliwą wirtuozerią malarskiego galanta. Jerzy Derkowski („Duże jasne") operuje kilkoma barwami, znacząc tylko kontury postaci, wyakcentowując na plan pierwszy kufle — symbole, właściwych bohaterów obrazu. Prace Tadeusza Hołówki, mimo niewątpliwej rzeczowości opisu, są już tylko esencją wrażenia, złocisto-brązową błoną światła rozpuszczającego przedmiot. „Pejzaż z Sieradza" Ireneusza Olszewskiego, to z kolei barwna niezwykle subtelna w kolorycie wibracja światła i barw — w jego obrazach nabierają one cech materii żyjącej, rozpryskującej się bielą, do momentu, w którym barwę rozpatrywać można kategoriami ruchu i przestrzeni. Spostrzeżenie to dotyczy szczególnie „Impresji sieradzkich". „Sieradzkie dziewczyny" Haliny Korbik ulotne najady, pełne bioder i piersi to radosna wizja beztroskiego i słonecznego lata. Dla temperamentu artystycznego Benona Liberskiego godziwym obiektem okazało się wnętrze zakładu produkcyjnego; ono też stało się obiektem jego pełnej rozmachu graficzno - monumentalnej kompozycji. Człowiek na tle skomplikowanej aparatury, namalowany pozornie beznamiętnie i opisowo, zabrzmiał w kontekście tytułu („Ja i spirytus") przekornie i humorystycznie. Andrzej Szonert zaprezentował kilka następnych propozycji malarstwa gestu. W „Grze I i II" z tem peramentem pokonuje duże płótna. Jakkolwiek ich konwencja malarska została zachowana, obrazy wkomponowuje on w obce ciała, które dla lepszego wtopienia w tło przeciąga lekko kolorem. Ryszard Skupin malując pejzaż rozległy, zda się rozważny i neutralny, subiektywizuje wyraźnie perspektywę i światłocień, wnosząc do obrazu nastrój nieco surrealny.

Te z konieczności tragmentaryczne refleksje kresią kolorową mozaikę prac — wspomnień sieradzkiego lata. W większości przypadków mieszczą się one w ramach znanych nam konwencji i orientacji, lecz znalazło się też sporo prac interesujących, wyważonych, wysmakowanych, jak choćby wymienione. Na zakończenie chciałabym uniknąć formułowań typu „plener, sądząc po wystawie, był w życiu uczestników przełomem artystycznym", lub „przyniósł realizację wyjątkowej miary"; poprzestanę na konstatacji, że trwałych efektów takich imprez nie sposób obliczyć ad hoc, na gorąco.

P. S.

W tym samym Ośrodku Propagandy Sztuki w maju eksponowana była z okazji 25-lecia Łódzkiego Okręgu ZPAP jubileuszowa wystawa, obrazująca dorobek twórczy środowiska plastycznego. Była ona swoistym almanachem osiągnięć, kroniką rejestrującą wydarzenia artystyczne lat 1945—1970. Z uwagi na swój cel, była to wystawa imponująca zarówno estetycznym rozmieszczeniem prac, jak swoją wielkością. Oglądaliśmy prace artystów, których nazwiska przejęła już historia sztuki: malarza i teoretyka sztuki W. Strzemińskiego, L. Kowarskiego, Ormezowskiego, S. Wegnera. Znalazły się również prace nestora naszego malarstwa — K. Mackiewicza, wykładowców łódzkiej PWSSP: T. Tyszkiewiczowej, R. Modzelewskiego, S. Fijałkowskiego, L. Kunki, ponadto obrazy J. Nowosielskiego, J. Krawczyka, B. Liberskiego, H. Strumiłły, M. Gałkiewicza, A. Habdasa, A. Szonerta, Halata. Ta barwna i obfita galeria prac artystów, których nazwiska często przekroczyły granicę lokalności, świadczyć może o aktywności twórczej naszego środowiska plastycznego. Termin „szkoła łódzka", którą reprezentuje kilku z eksponujących twórców, stał się określnikiem wysokich wartości ideowych i artystycznych. Ekspozycja była pierwszym aktem oceny pracy naszego środowiska plastycznego. Oceny, wydaje się, pozytywnej.

Fot. E. Kudaj

POLONICA

ŚMIERĆ UNGARETTI'EGO

Zmarł nagle wielki włoski poeta, Giuseppe Ungaretti. Mając lat dwadzieścia przybył do Paryża i zaprzyjaźnił się z Apollinairem. Ta przyjaźń odegrała wielką rolę w jego życiu, był jej zawsze wierny, podkreślał nieraz polskie pochodzenie autora „Alkoholi", niedawno mówił o nim z okazji umieszczenia pamiątkowej tablicy na paryskim domu przy Boulevard Saint Germain, gdzie Apollinaire umarł. Ochotnik na froncie włoskim w 1916 roku, gorący frankofil i polonofil, świetnie znający francuski język, ożeniony z Francuzką, Ungaretti za czasów Mussoliniego musiał wywędrować z ojczyzny i objąć posadę profesora włoskiej literatury w San Paulo w Brazylii. Przewodniczący międzynarodowego Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (S.E.C.), którego polski oddział pięknie się rozwija, Ungaretti do końca życia, mimo przekroczonych 82 lat, zachował radość i pogodę. Gdy go pytano o tajmnicę jego długowieczności i zdrowia, odpowiadał: „Niech żyje poezja!".

(wn)

MADELEINE RENAUD GRA WITKACEGO

Wielka francuska aktorka, Madeleine Renaud, żona Jean Louis Barrault, zagra główną rolę w „Matce" Stanisława Ignacego Witkiewicza, w tłumaczeniu Jadwigi Kukulczanki w paryskim teatrze Recamier. Premiera ta, zapowiadana w paryskiej prasie, szczególnie w „Le Figaro", odbędzie się wczesną jesienią, tuż po wakacjach. Madeleine Renaud, którą pamiętamy z występów w Polsce, jest słynną wykonawczynią ról w sztukach Becketta, Anouilha, Moliera, Marguerite Duras itd. Albert Camus poświęcił jej całe studium i jeden z najpiękniejszych swych esejów teatralnych.

Popularność Stanisława Ignacego Witkiewicza we Francji jest w dużej miedze zasługą utalentowanej jego tłumaczki, Jadwigi Kukulczanki i kilku jej francuskich współpracowników. Ukazały się już w kieszonkowych wydaniach nakładem wielkiej firmy Gallimard, cztery sztuki Witkacego, przełożone na język francuski. W seminarium prof. Bourrilly'ego są przygotowane prace o Witkacym. Radio paryskie nadało kilka sztuk, w serii „France Culture", w reżyserii Bronisława Horowicza.

(wn)

O ZWIĄZKACH ROSYJSKO-POLSKICH

W początkach b. roku ukazała się w Moskwie, nakładem wydawnictwa „Nauka" pokaźna objętościowo książka pt. „Polsko-ruskije litieraturnyje swiazi" (Polsko-rosyjskie związki literackie). Jest to praca zbiorowa, w której rosyjscy poloniści i tłumacze z języka polskiego piszą o kontaktach i związkach rosyjsko-polskich w dziedzinie literatury. Podajmy dla przykładu tytuły kilku rozpraw w tomie tym pomieszczonych: I. W. Staniukowicz „Człowiek i historia w tryiogiach J. Iwaszkiewicza, Al. Tołstoja i K. Fiedina", A. G. Piotrowska „Ze spostrzeżeń nad artystycznymi poszukiwaniami we współczesnej prozie rosyjskiej i polskiej", J. A. Szmieljakowa" „Polska literatura piękna w prasie rosyjskiej", E. M. Dwojczenko-Markowa „Niemcewicz i Rylejew".

Tom, zawierający ponad dwądzieścia rozpraw, dotyczących dawnych i współczesnych problemów naszych literatur, jest poważnym wkładem w dzieło poznania ciekawych, a wciąż jeszcze mało znanych stosunków literackich rosyjsko-polskich i polsko-rosyjskich. (jk)

POLONICA

---

owoc", w końcu zaś „całkiem znikła". Żałować należy, że ta tablicz ka nie dochowała się w całości do naszych czasów. Brak jest fragmentów końca legendy.

W tej opowieści uderza przede wszystkim to, że jej bohater szybując nad Ziemią, widzi ją wcale nie tak, jak ją sobie wtedy wyobrażano. Etana widzi ją jako okrągły przedmiot. Już na podstawie tylko tej legendy można wyciągnąć wniosek, że w starożytności ludzie mieli pewne wyobrażenie o sferyczności planety i o możliwościach podróży ku gwiazdom.

Jeszcze lepiej świadczy o tym fragment opowieści o podróży Enocha. Przybyli do niego dwaj bardzo wysocy ludzie, jakich on, według jego własnych słów, nie widział nigdy na Ziemi. Przybysze przekazali mu wolę Boga: „Nie bój się, dzisiaj ty udasz się z nami do nieba". Swoim synom Enoch powiedział: „Nie wiem gdzie idę i co mnie czeka". Posłańcy wzięli Enocha na skrzydła i posadzili na obłok, na którym leciał on coraz wyżej i wyżej, widział powietrze, a potem osiągnął „eter". Potem zobaczył „ciemność ciemniejszą od ziemskiej". Potem był on porażony blaskiem promieni Słońca i Księżyca, świecących jednocześnie, zauważył przy tym, że Słońce świeci siedem razy jaśniej od Księżyca.

Dalej legenda głosi, że ziemski „kosmonauta" osiągnął obszary, „gdzie poruszali się jak wiatr, z niewiarygodną szybkością i bez zatrzymania". „Aniołowie" zapoznali go z systemem słonecznym. Pokazali drogę Księżyca. Nauczyli pisać, czytali mu swoje księgi i żądali, aby zapisywał swoje wrażenia. A po 60 dniach odwieźli go na Ziemię. W czasie lądowania ciemność rozstąpiła się i było jasno. Na ziemi Enoch stwierdził ze zdziwieniem, że upłynęło już 10 lat.

Również w hinduskim eposie „Ramajana" dwaj jego bohaterowie udają się w podróż do nieba.

Oprócz legend, mówiących o podróżach ludzi do nieba, spotykamy również podania, mówiące o przybyciu „ludzi z nieba" na Ziemię. I tak, w starych chińskich podaniach są wiadomości, że pierwszy bogdychan (syn niebios) zszedł na Ziemię z niebios. Podobne opisy spotykamy w legendach peruwiańskich. Założycielem dynastii władców Peru był przybysz z nieba. Mieszkańcy starożytnego Meksyku uważali, że w dawnych czasach bogowie schodzili do ludzi z nieba po pajęczynie. W japońskiej legendzie bóg Suzane żył na Księżycu, a potem stamtąd przybył na Ziemię. Natomiast Diogenes przytacza legendę, według której na Ziemię przybył mieszkaniec Księżyca.

Można przypuszczać, że w starożytności ludzie mieli wyobrażenie o ciemności kosmicznej przestrzeni. W ewangelii według św. Jana znajduje się następujący fragment: „A światłość w ciemnościach świeci, ciemności jej nie ogarnęły". A w ewangelii według św. Mateusza: „A niepożytecznego sługę wrzućcie do ciemności zewnętrznej". W tych fragmentach znalazły chyba odbicie wyobrażenia o ciemnościach panujących w kosmosie. Już Enoch zobaczył w niebie „ciemność ciemniejszą od ziemskiej". Ciemność zewnętrzna poza Ziemią była przeciwstawiana ziemskiej. Sam termin, ciemność zewnętrzna, mógł powstać tylko w momencie poznania przestrzeni kosmicznej.

W wielu legendach wspomina się „czarne niebo" i „żółtą Ziemię". Wyprawa kosmonautów amerykańskich na Księżyc potwierdziła taki wygląd Ziemi z kosmosu. W źródle chińskim X w. n.e. „Podróż na zachód" są przytoczone fragmenty starej, buddyjskiej mitologii, mówiące również o locie do nieba. „W czasie gdy podróżnik leciał wyżej i wyżej, niebo stawało się coraz czarniejsze".

I oto postawmy sobie pytanie: W jaki sposób człowiek starożytności dowiedział się o tym, że niebo jest czarne? W ciągu dnia ludzie widzieli jasne niebo, w nocy ciemne, ale nie czarne. I dlaczego ciemność zewnętrzna była przeciwstawiana ciemności ziemskiej? To na pewno nie mogła być tylko intuicja.

Wiedziano jeszcze o nierównym upływie czasu na Ziemi i poza nią. Stare przysłowie mówi: „Dla Boga minuta — dla człowieka cały wiek". W 89 psalmie, wiersz 5, są słowa: „Przed oczami twoimi (Boga — A. K.) tysiąc lat to jeden dzień". W starożytności, w chrześcijańskiej literaturze przewijał się pogląd, że w niebie czas upływa wolniej niż na Ziemi. W „Widzeniu Izajasza" mowa jest o tym, jak Bóg wziął proroka Izajasza do nieba. Po pewnym czasie anioł zaprowadził go z powrotem na Ziemię. Izajasz pragnął jeszcze zostać, uważał bowiem, że przy Bogu pozostawał tylko przez dwie godziny. Anioł odpowiedział mu wtedy: „Nie dwie godziny, ale 32 lata". Prorok zaczął wtedy rozpaczać, że będzie już starym człowiekiem. Na to anioł: „Nie obawiaj się, nie postarzałeś się wcale".

W jednej z japońskich legend ze zbioru „Nippon Yukasi Banasi" jest wiadomość, że człowiek wrócił z podróży do nieba młody i nie zastał już na Ziemi swoich potomków.

Przytoczone zagadki starożytności nasuwają nieodparcie jedno pytanie: Jakim sposobem człowiek starożytności, nie będący nigdy w przestrzeni kosmicznej, wiedział o rzeczach, których nigdy nie mógł widzieć, przebywając tylko na Ziemi?

Jakim sposobem w starych mitach, legendach i religiach mogły się znaleźć pojęcia pozaziemskich prędkości, kosmicznej ciemności, względności upływu czasu określone dopiero w wieku dwudziestym? Wiemy przecież, że myśl ludzka zmierza od konkretu do abstraktu, a nie odwrotnie.

Na te pytania uczeni wciąż szukają odpowiedzi.

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Co dalej mister Jazz?

Dziesięć lat temu, ba, nawet jeszcze pięć lat temu, sprawami odbiorcy muzyki jazzowej nie musieliśmy sobie zbytnio łamać głowy. We dług powszechnych przewidywań, beztrosko szastających cytatami publicystów cały kraj powinien być wkrótce zalany przez jazz, a sale koncertowe miały pękać w szwach od napierających tłumów słuchaczy. Wiele mogliby opowiedzieć ci, którzy pamiętają czasy pierwszych sopockich festiwali jazzowych. Początkowo tańczono przy dźwiękach jazzu (i to jak!). Potem uznano: tego się nie tańczy tylko słucha! I jazz trafiając do filharmonii, zrzucił rozciągnięte swetry i dżinsy, a założył białe koszule i krawaty. Może to i lepiej, bo jak by tańczył słynny w swoim czasie z tanecznych popisów Kazio Meloman ze „Stodoły", gdyby mu kazano balować przy free-jazzie!

Żył 400 lat p.n.e. muzyk Tymoteusz z Miletu, którego karykaturę przedstawia komedia Fizjokratesa. Jak orzekli starożytni Grecy, Tymoteusz został skazany na wygnanie za to, że wniósł zamęt w piękno i dobry ład muzycznej sztuki. Tymoteusz był chyba pierwszym awangardzistą, jakiego zna historia światowej muzyki.

Muzyka jazzowa w latach sześćdziesiątych przechodzi gwałtowną metamorfozę poprzez ewolucję modern-jazzu, powstawanie jego nowych, coraz subtelniejszych funkcji i zrozumienia jego nowego znaczenia. Oznacza to po prostu tworzenie się nowej dziedziny awangardowego, muzycznego myślenia. Jeżeli przyjmiemy za pewnik (proponowany dotąd przez naukowe autorytety), że jazz jako muzyka improwizowana oparty jest z reguły na schemacie harmonii tonalnej, to obecne poszukiwania jazzmenów, poszukiwania nowych form artystycznego wyrazu sprzeczne są z istniejącymi dotąd definicjami. Ale przecież burzenie dotychczasowych tradycji, uznanych autorytetów, niezbitych dotąd twierdzeń, to przywilej eksperymentowania, ewolucji i postępu nie tylko w muzyce, ale w każdej dziedzinie sztuki. Ale faktem jest, że awangardowe poszukiwania doprowadzają do tego, że stopniowo staje się jazz muzyką elitarną. Brzmi to jak paradoks, ale z paradoksu nie musi wynikać logiczna przesłanka. Jak bowiem reaguje słuchacz, dla którego jazz spełnia jedynie funkcję rozrywkową (a takich jest większość), słuchacz, który w jazzie słucha rytmu, melodii, swingu, który nawet pragnie zatańczyć przy jazzie, a w zamian otrzymuje nowatorsko-modernistyczne frazy? Słuchacz ten odwraca się plecami do naszych nowatorów, odwraca się plecami do jazzu i poszukuje muzyki bardziej komunikatywnej. Oczywiście znajduje ją w big-beacie.

Zauważalna od dłuższego czasu wielka emigracja jazzu to nie tylko wynik automatycznego wyeliminowania olbrzymiej grupy przypadkowych jazzmenów i fanów. Zbytnia ufność w to, iż owa emigracja jest wynikiem częściowej stabilizacji w świecie jazzfanów — przez stopniowe odejście elementu mody, gdzie jazz był szokującą nowością — stanowi poważne niebezpieczeństwo samouspokojenia. Przyznam się szczerze, że wyżej zasygnalizowana argumentacja przypomina mi fragment oglądanego przed kilku laty filmu z Fernandelem w roli fryzjera. Fernandel tłumaczy swej klientce, skarżącej się na ciągłe wypadanie włosów: „Madame! To jest rzecz zupełnie naturalna. Słabe włosy wypadną, ale zostaną te najzdrowsze, najsilniejsze". Siedząca w fotelu madame jest prawie łysa. Jazz też nam powoli łysieje. Nowe nurty w jazzie zmieniają kryteria ocen muzyki jazzowej, a przez to samo powodują zmianę wartości dla współczesnego odbiorcy. Słuchacz odwraca się plecami od jazzu i poszukuje muzyki bardziej komunikatywnej. Oczywiście znajduje ją w big-beacie. Zmniejsza się również ilość wykonawców jazzu.

Organizowane ostatnio dwa najpoważniejsze w bieżącym roku festiwale jazzowe, to „Jazz nad Odrą" we Wrocławiu i „Międzynarodowy Festiwal Wokalistów Jazzowych" w Lublinie. Byłem i na jednej i na drugiej imprezie. Jeżeli jeszcze rok czy dwa lata temu we wrocławskim festiwalu startowało 30, 40 grup jazzowych, to w tym roku trudno się było doliczyć 15, a poziom... raczej przeciętny. Jeżeli jeszcze rok, czy dwa lata temu na nocne „jamsession" w „Pałacyku" trudno się było przepchnąć przez tłum szturmujący drzwi, a dziewczyny w stylu „underground" oddałyby wiele, a nawet i ciut więcej za uśmiech (choćby i nieszczery) jazzowego trumpet-playera, to już w tym roku... ach, co tam dużo mówić. Na jam można się dostać bez kłopotu, a w salach koncertowych pustki. Z wielką nadzieją, a jednocześnie obawą oczekiwałem kwietnia br., w którym to miesiącu miał się odbyć Międzynarodowy Festiwal Wokalistów Jazzowych. Festiwal ten miał być zdecydowaną odtrutką na zalew awangardowego jazzu, miał być antidotum na pojawiające się tu i ówdzie coraz głośniejsze rozważania na temat kryzysu w świecie jazzu. Inicjatywa organizacji lubelskiej imprezy, jako międzynarodowego festiwalu wokalistów, to inicjatywa bardzo odważna, bo... ilu właściwie mamy tych wokalistów? Dziesięciu, piętnastu? Chyba nawet nie.

Ella Fitzgerald na pewno nie przyjedzie — dumałem sobie w pociągu na trasie do Lublina. — „Satchmo" chyba również nie odwiedzi lubelskiego grodu, a jeżeli chodzi o Franka Sinatrę, to pomijając fakt, iż nie jest to wokalista par exellence jazzowy, jego bliskie powiązania ze światem gangsterskim nie pozwolą chyba organizatorom na zaproszenie go do Polski.

Po przyjeździe na miejsce okazało się, że impreza z dumnej nazwy „International Vocalists Jazz Festiwal" (program wydrukowany został również w języku angielskim) zmieniła nazwę na Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych. I słusznie, bo jak się potem okazało na 42(!) wokalistów było aż... dwóch (!) obcokrajowców. I to tych bardzo bliskich, a mianowicie Węgierka Zuzsa Kosa i Czeszka Eva Olmerowa. Pozostali reprezentowali przeważnie... Warszawę.

A poziom imprezy? Kiedy w XIX wieku znakomity śpiewak Tamberlik wprowadził górne „cis" do ostatniego aktu „Otella", Rossini był wściekły. Gdy Tamberlik przyjechał do Paryża, by złożyć hołd mistrzowi, Rossini miał rzekomo napisać, że będzie on mile widziany, ale że swoje „cis" może powiesić na wieszaku i zabrać do piero przy odejściu. Sądzę, że wieszaki w szatni „Chatki Żaka", gdzie odbywały się imprezy, byłyby zapełnione większością nut, które należało śpiewać ze swingiem, a nie z tupetem. Niestety, lubelski festiwal nie przysporzył sympatyków jazzowi. W drugim dniu festiwalu odbyła się impreza, która dobiła i tak już dogorywający festiwal. Był to odczyt profesora, B. Hodyny, który to odczyt nosił nazwę „Źródła jazzu", a powinien się zwać: „Co każdy Polak wiedzieć o jazzie powinien".

Ach, co to był za dżes! I co najgorsze, profesorowi trzeba wierzyć na słowo, że jego utalentowana uczennica zna 22 języki, bowiem na nocnym jamie w klubie „Relaks" zauważyłem, że ma dość duże trudności z językiem polskim. Być może była to wina miodu grzanego z korzeniami.

W sumie profesor uratował festiwal, a jego wokalne widowisko jazzowe miałoby olbrzymią szansę powodzenia, gdyby odbywało się w latach trzydziestych, jako impreza towarzysząca konkursowi zespołów tanecznych.

I tak powoli zaczynamy rozumieć dlaczego „król jest nagi", dlaczego Polska Federacja Jazzowa organizuje tak błyskotliwe imprezy w rodzaju „associate professor show". Chodzi po prostu o antyreklamę jazzu, tej przecież tak cudownej muzyki. I cóż się potem dziwić, że młodzi muzycy, którzy jeszcze lat temu kilka zapamiętale ćwiczyliby armstrongowskie wstawki, łapią — po obejrzeniu kolejnego festiwalu — za gitary z potężnymi wzmacniaczami i... „ładne oczy masz, komu je dasz".

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Z uwagą i zainteresowaniem przeczytałem artykuł Pani Redaktor Bogdy Madej, zamieszczony w „Odgłosach", a zatytułowany „Jak pisać anonimy?" („Odgłosy" nr 23, z dnia 7. 06. 70 r.). Ponieważ nie zgadzam się (porównaj wzór 2 artykułu) ze stanowiskiem Autorki artykułu i nie potępiam wszystkich bez wyjątku anonimów, choć, proszę mi wybaczyć nieskromność, zaliczam siebie do ludzi rozsądnych i trzeźwo myślących, postanowiłem zabrać głos na ten temat i właśnie w formie potępianego anonimu podać powody, dla których tak czynię. Nie mogę i nie potępiam wszystkich anonimów, gdyż musiałbym na przykład potępić i „Hamiltona" i „KTT" i... „Ćwieka", a także innego kolegę redakcyjnego Szanownej Autorki — „Jerzego Widoka". Przecież wymienieni przeze mnie felietoniści „Kultury" i „Odgłosów" są także anonimowi, nie dla Redakcji, ale dla czytelników. A czyż z tego powodu, że autorzy ci są znani redakcjom swych pism, można nazwać ich felietony nieanonimowymi? Ludziska czytają, czytają te felietony-anonimy i... uczą się. Notabene, właśnie tego sposobu podpisywania listów do Redakcji nauczyli mnie samego wyżej wymienieni. Myślę więc, że Autorka artykułu uogólniła sprawę anonimowości i zbyt pochopnie potępiła tych wszystkich, którzy — z różnych zresztą przyczyn — nie ujawniają swych nazwisk. Wydaje mi się, że Autorka cytowanego wyżej artykułu nie rozróżniła rzeczy najważniejszej. Zapatrzona w podpis czy też brak podpisu pod listem, nie zwróciła uwagi na jego zawartość, na jego cel, chociaż mogłoby się wydawać, że przedstawiając kilka wzorów i opisując je, uczyniła to.

Chodzi mi o to, że Autorka nie oddzieliła stanowczo listów, w których ich anonimowi autorzy piszą do Redakcji o sprawach ogólnych, nie szkalując innych ludzi, od listów zgoła odmiennych, od tzw. donosów (np. wzór nr 1 cyt. artykułu), które trzeba, oczywiście, potępiać, i które nie czytając, wyrzucać do śmieci. Dlaczego, tak, jak chce pani Bogda Madej, mamy potępiać anonimy, które nie są ani szkodliwe społecznie, ani też nie szkodzą pojedynczym ludziom, lecz są właśnie pisane w celu przyjścia z pomocą innym, dla dobra ogółu? Dlaczego autorzy takich listów mają podawać swe imię i nazwisko? Czy zmieni się ich sens, ich treść, gdy czytający te listy dowie się, że napisał je nie jakiś „Patriota" czy „Bywalec", lecz Jan Kowalski — tokarz? Chyba nie w tym leży problem czy będą listy do redakcji podpisywane imieniem i nazwiskiem, czy też będą anonimowe, lecz w tym, co poruszają, jakie problemy i rozważania są ich treścią. Wtedy dopiero można potępiać listy, gdy poznamy ich treść i cel, w jakim zostały napisane, a nie dlatego, że są anonimami. Przecież nie każdy anonim jest donosem! A Autorka artykułu „Jak pisać anonimy?" właśnie wszystkie te listy, podpisane przez „Bywalców", „Patriotów" itp. zalicza właściwie do donosów pisząc: „Bo z jakich pobudek ludzie piszą anonimy? Zawsze z tych samych — z zawiści, zazdrości, zemsty czy wreszcie ze zwykłego tchórzostwa". Ale przecież z tych pobudek, myślę, pisze się donosy. Czyżby wszystkie anonimy były donosami? Dziwne, że Autorka zapomniała o tym, że przecież ludźmi, którzy piszą anonimy (nie donosy!) może kierować inny powód niepodpisywania swych listów nazwiskiem, na przykład taki przymiot czysto ludzki jak skromność. Być może, że jest to w pewnym sensie i tchórzostwo, strach przed wyśmianiem, a może także to, że piszący anonimy są — cytuję za Autorką — „niepewni o stylistyczną doskonałość listu". Może jak się wprawią na pisaniu listów anonimowych, to później będą pisali tak poprawnie stylistyczne listy, że będą je już śmiało podpisywali swym imieniem i nazwiskiem? Jedna myśl naprawdę mi się spodobała w artykule pani Bogdy Madej. Sformułowana ona została w następującym zdaniu: „Zatroszczmy się raczej o stworzenie takich stosunków w pracy, w środowisku czy miejscu zamieszkania, aby nie zachodziła potrzeba pisania anonimów". Ja bym dodał: aby nie zachodziła potrzeba pisania w ogóle o problemach, nurtujących obecnie piszących anonimy, a póki co piszmy je (nie donosy!), gdyż tyle jest jeszcze do naprawienia.

Z poważaniem

PIK

T-O OBIEKTYW

Oczyma Niemca

Przed kilku tygodniami omawiałem w ramach T-O spektakl Telewizji Wrocław pt. „Rzecz o zagładzie miasta". Autorzy w na wpół inscenizowanej formie próbowali zrekonstruować historię nieludzkiego terroru zastosowanego przez zbrodniczych hitlerowskich obrońców „Festung Breslau" wobec niemieckiej ludności miasta. Nazwiska ludzi, którzy odegrali rolę katów wobec własnych współziomków to Karl Hanke, gauleiter Dolnego Śląska i nadburmistrz Wrocławia oraz generałowie Niehoff i von Alfen.

Do tych samych tragicznych wydarzeń nawiązał przez moment Niemiec Hansjakob Stehle z telewizji z Frankfurtu nad Menem (Hessischer Rundfunk) w nakręconym w Polsce filmie „Na zachód od Warszawy". Podobnie jak realizatorzy wrocławscy powołał się przy tym na świadectwo księdza Paula Peikerta, który w czasie obrony Wrocławia był proboszczem parafii św. Maurycego.

Jednak Hansjakob Stehle przesunął akcenty. Nie podkreślił zbrodni Hankego, ale fakt, że przeciwnik obrony, zastępca burmistrza został rozstrzelany za defetyzm. W ten sposób dziennikarz zachodnioniemiecki złagodził sprawę i zamiast przypomnieć winnych uwypuklił sporadyczny przypadek oporu. Ale więcej mamy dla red. Stehle uznania za jego film telewizyjny niż pretensji. Zdobył się on bowiem na to, by w dwudziestą piątą rocznicę ustalenia granicy na Odrze i Nysie dokonać uczciwej relacji przemian, jakie zaszły na ziemiach na wschód od tej linii.

Wiemy jak trudno przekonać znaczną część społeczeństwa Niemieckiej Republiki Federalnej o historycznej słuszności tak wytyczonej granicy. Stehle nie próbuje więc podjąć wprost tego problemu. Ogranicza się do rozprawienia z kłamliwą propagandą rewizjonistów zachodnioniemieckich, według której Polacy nie są w stanie zagospodarować Ziem Zachodnich a na ziemiach tych panuje stan tymczasowości.

Film Stehlego nie pozostawia tego rodzaju złudzeń. Stosując nowoczesne metody reportażu telewizyjnego, daje nie uproszczony obraz tętniących życiem miast i osiedli. Często stosowanym w tym filmie sposobem jest ukazywanie fotografii dawnych ruin, które ustępują w dalszym ciągu miejsca gmachom publicznym, odrestaurowanym z pietyzmem zabytkom i rzędom nowoczesnych bloków. Autor lubi też po podaniu dawnej niemieckiej nazwy miasta czy miejscowości zastępować ją nazwą aktualną, polską.

Dużo jest w filmie Stehlego autentycznych ludzi. I tych starszych, których na Ziemie Zachodnie rzuciły różne koleje losu i tych młodszych tu już urodzonych, dla których słowa Wrocław, Olsztyn, Jelenia Góra kojarzą się najściślej z pojęciem ojczyzny. Z cytowanych w warstwie dźwiękowej filmu wypowiedzi wynika jednoznaczny pogląd wszystkich zapytywanych: to nasze ziemie i tu się czujemy gospodarzami.

Prawdę tę wypowiadają ludzie różnych zawodów aż po arcybiskupa wrocławskiego Kominka. Ani jedna wypowiedź nie pozostawia cienia wątpliwości. Niemca, który odurzony rewizjonistyczną propagandą spodziewał się usłyszeć coś innego, czeka rozczarowanie.

Z pewnością film Stehlego nie lakieruje naszej rzeczywistości, mówi po męsku o trudnościach i brakach. Myślę, że tego nie musimy się wobec zagranicy wstydzić. Ale perspektywy rozwojowe wynikają z filmu jednoznaczne. I bilans dwudziestopięciolecia jest także nie do zakwestionowania.

Jak na mój gust zbyt mało dostrzegł Stehle w dziedzinie kulturowej integracji ziem Zachodnich. Nie dość podkreślił również bujny rozwój ich życia kulturalnego.

Miał z czego wybierać: teatr Skuszanki, Grotowskiego, Pantomima Wrocławska, liczne filharmonie, muzea, domy kultury. Stehle ograniczył się do odwiedzin w zespole „Śląsk" w Karolinie i do ukazania jakże nietypowej dla struktury naszego życia kulturalnego striptiserki. Gdzie on ją wygrzebał?

W sumie jednak dobrze, że taki film obejrzy, czy może już obejrzała publiczność zachodnioniemiecka. I nieźle także, że nadała go (i to bez polemicznego komentarza) Telewizja Polska. Zobaczyliśmy, jak wykorzystana przez nasz naród historyczna szansa została pokwitowana przez uczciwego Niemca.

Władysław Orowski

spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Jezioro łabędzie"	2	2520	100
„Straszny Dwór"	1	1260	100
„Carmen"	1	1260	100
„Lohengrin"	1	1260	100
„Orfeusz w piekle"	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem"	1	700	100
„Zemsta"	2	1400	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	600	90
„Szkoła kobiet"	1	500	75
NOWY MAŁA SALA			
„Rodeo"	3	600	100
„Pelikan"	2	300	75
„Mąż i żona"	1	150	75
POWSZECHNY			
„Wszyscy moi synowie"	3	1500	70
„Boso, ale w ostrogach	1	600	90
JARACZA			
„Każdy kocha Opalę"	1	514	100
„Tajemniczy ogród"	4	2056	100
7.15			
„Żołnierz królowej Madagaskaru"	3	1266	100
OPERETKA			
„Miłość Szejka"	1	830	76
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		600	50

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NIEZNANY MALARZ, KTÓRY STAŁ SIĘ PICASSEM

W jednym z ostatnich numerów tygodnika „Paris-Match" znajdujemy m. in. omówienie interesujących dzieł „pewnego nieznanego malarza, który później stał się Picassem".

Chodzi tu o twórczość wielkiego malarza z okresu jego dzieciństwa i wczesnej młodości. Rysunki i malowane obrazki młodocianego Pabla, przechowywane od wielu lat troskliwie przez jego rodzinę, nie znane były dotąd szerszemu ogółowi. Obecnie przekazane przez artystę muzeum w Barcelonie zostaną udostępnione zwiedzającym.

„Te dzieła — powiedział o nich niedawno Picasso — to moja cała młodość. Nie chcę, aby uległy rozproszeniu".

W tych to młodzieńczych dziełach, a jest ich 994, miłośnicy sztuki Picassa mogą prześledzić rozwój jego talentu, badać wpływy innych twórców ponad których Picasso tak wyrósł — słowem zapoznać się z początkami twórczości artysty od samego początku.

Pablo urodził się 89 lat temu w Maladze w Andaluzji, ale wkrótce jego ojciec don Jose Ruiz Blasco, z zawodu profesor rysunków w szkole sztuk pięknych, przenosi się wraz z rodziną do La Coruna w Galicii, a później w roku 1895 do Barcelony.

Mały Pablo od wczesnego dzieciństwa interesuje się rysunkiem. Pomaga mu ojciec. Rodzina jest niezamożna. Często jadają tanią potrawę — gołębie. Pablo spędza długie godziny na rysowaniu tych ptaków. Zamiłowanie do rysowania gołębi zachowa na całe życie. Gdy ma lat dziesięć jego wyobraźnię zajmuje corrida, toteż sceny z walki byków znajdą pokaźne miejsce wśród rysunków młodego Pabla. Wkrótce zaczyna uczęszczać do szkoły, w której wykłada jego ojciec. Ma o sie dem lat mniej niż tego wymagano przy przyjmowaniu do tej szkoły. Już w tym okresie, w dziecinnych jeszcze dziełach Picassa, zaznaczyło się genialne wyczucie koloru i niezwykły talent rysunkowy. Młody Pablo najchętniej portretuje teraz osoby ze swego najbliższego środowiska — matkę, ojca, siostrę. W Barcelonie spędza dziewięć lat. Miasto w owych czasach rozwija się gwałtownie. Pablo trafia na ożywiony ruch artystyczny. Kształci się dalej malując zdumiewają co dojrzałe jak na zaledwie piętnastoletniego chłopca. Jedno z jego płócien zostaje przyjęte na wystawę miasta Barcelony, w rok później inny obraz zostanie odznaczony dyplomem na ogólnopaństwowej wystawie w Madrycie. W czasie studiów barcelońskich Pablo maluje i rysuje dużo. Aby zarobić maluje w wolnych chwilach szyldy sklepowe, ilustruje reklamy farmaceutyczne, sporządza afisze reklamowe jednego z kabaretów. Już wtedy przejawia się tak charakterystyczne dla niego i trwające do dziś duże poczucie humoru. Oto swój dość nędznie umeblowany pokoik ozdabia malując na ścianach kredens, kasę pancerną, szafę z lustrem a nawet dwóch służących gotowych do natychmiastowego wypełniania rozkazów.

Zabawny rysunek Picassa na temat swego wyjazdu do Paryża

W tym to czasie do Barcelony nadchodzą wieści o niezwykle intensywnym ruchu malarskim w Paryżu. Pablo postanawia tam pojechać. I oto nadchodzi dzień opuszczenia słonecznej Katalonii. Ten moment pożegnania smutnego i radosnego zarazem Pablo upamiętni zabawnym rysunkiem. Kiedy matka żali się, że jej syn porzuca ją i być może już nigdy nie wróci, Pablo chwyta pędzel i mówi: „Będziesz mnie miała zawsze przed swymi oczyma", po czym maluje na ścianie mieszkania swój autoportret, który do dziś możemy oglądać.

Pobyt w Paryżu — to już bogata i jakże różnorodna historia genialnego artysty, najwybitniejszego malarza naszych czasów.

AYUMI ISIDA

Ciężki jest często los „cudownych dzieci", wyjątkowo uzdolnionych. Nie łatwe też dzieciństwo miała Ayumi Isida, która wcześnie przejawiła wybitny talent do muzyki, śpiewu i tańca. Ilekroć w jej rodzinnym domu zjawiali się znajomi rodziców tylekroć Ayumi musiała odbywać przed nimi swe artystyczne popisy. Rodzice nie pozwalali jej biegać, bo mogłaby złamać nogę, ubierali zbyt ciepło, aby się czasem nie przeziębiła. I podczas gdy jej rówieśniczki bawiły się i biegały jak normalne dzieci, Ayumi Isida musiała ćwiczyć w tym czasie muzykę, śpiew czy taniec. Bywa, że uzdolnione dzieci wyrastają na całkiem przeciętnych ludzi, a ich talent tak wcześnie i gwałtownie przejawiany nie wiadomo czemu wygasa. Ayumi nie straciła talentu. Jest jedną z najbardziej lubianych w Japonii śpiewaczek. Debiutowała właściwie aż trzy razy. Po raz pierwszy pojawiła się na estradzie jako trzynastoletnia śpiewaczka w roku 1961. Brak dostatecznego jeszcze wyszkolenia rekompensowała wdziękiem, bezpośredniością wykonania, wybitnym talentem. Nad rozwojem jej uzdolnień zaczął pracować kompozytor i pedagog Taku Idzumi. Cztery lata trwała wytężona praca — nauka muzyki, śpiewu, poruszania się po scenie, umiejętności występowania przed kamerami telewizyjnymi. Taku Idzumi w tajemnicy przed wszystkimi przygotowywał występ swej młodziutkiej i prześlicznej uczennicy. Pieśń, którą po raz drugi zadebiutowała miała tytuł: „Myśl tylko o mnie" i z miejsca zdobyła publiczność. Popularność tego utworu stała się tak wielka, że pieśń przez kilka lat nie schodziła z estrady, choć nowe piosenki w Japonii śpiewane są zwykle nie dłużej niż miesiąc. Na Ayumi spadł teraz prawdziwy deszcz nagród: za najlepszą pieśń roku, za najlepszy występ przed telewizją, najlepszej debiutantce, za osiągnięcia największego nakładu nagrań płytowych.

Ale właśnie wtedy Ayumi Isida za radą swego impresario postanowiła na trzy lata przerwać występy, szkolić się nadal i po odpoczynku od estrady wystąpić na nowo. W Japonii szybko się zapomina o gwiazdach piosenkarskich toteż kiedy w zeszłym roku reklama zaczęła przygotowywać publiczność do pojawienia się nowej utalentowanej śpiewaczki, Ayumi Isida, niewielu tylko pamiętało, że to jest ta sama śpiewaczka, która jako trzynastoletnia dziewczyna debiutowała na scenie osiem lat temu.

Ostatni, jaki do nas dotarł numer radzieckiego miesięcznika dźwiękowego „Krugozor" przynosi na ostatniej stronie okładki kolorowy portret młodziutkiej, pełnej wdzięku, ślicznej i uśmiechniętej, z różą w ręku Japonki — to Ayumi Isida. W części zaś dźwiękowej pisma znajdujemy płytę z nagraniem jej śpiewu.

Bez strachu

Spotkanie z mordercą

On: Jestem twoim kolegą szkolnym, poznajesz mnie, pamiętasz, byliśmy w jednej klasie...

Ja: Pamiętam i poznaję, minęło już dwadzieścia lat...

On: Spotykasz mnie w sytuacji zupełnie specjalnej, przełomowej — mówię o tym spokojnie, ale to najważniejszy, najgroźniejszy punkt mego życia. Pożegnam cię za chwilę i udam się do mieszkania, aby zabić moją żonę.

Ja: Zabić żonę? Dlaczego?

On: Moja żona jest lekarzem-dentystą, piękna i kochana kobieta, zdradziła mnie i muszę ją zabić.

Ja: Czy zdradziła Cię pierwszy raz, czy też już wiele razy? Czy często i od dawna Ci się wydaje, że Cię zdradza? Jesteś człowiekiem inteligentnym, wiesz, że jest taka choroba, rodzaj urojeń, może powinieneś się leczyć?

On: Zdradziła mnie naprawdę, perfidnie podeptała moją miłość i dlatego zabiję ją najdalej za pół godziny... Kocham ją, jest piękna, jest lekarzem-dentystą...

Ja: Nawet, jeżeli to prawda, że Cię zdradziła — morderstwo z zazdrości... myślę, że to niesłuszne, niesprawiedliwe... sądzę, że do Ciebie bardziej przemówi fakt, że to niemodne, niewspółczesne — to mało, że będziesz mordercą potwornym, będziesz mordercą staroświeckim, mordercą śmiesznym.

On: Mniejsza o oceny osób trzecich i czwartych, zdradziła mnie i zabiję ją, to proste.

Ja: Ale dbała o dom, starała się o smaczne posiłki i higieniczne, przyjemne życie...

On: Dbała i starała się.

Ja: No widzisz... Czy godzi się zabić osobę o tylu zaletach? Czy była dobrą dentystką?

On: Była znakomitą dentystką, a jednak ją zabiję.

Ja: Zapraszam Cię do mojego mieszkania, jest wolny tapczan. Pogadamy, przeanalizujemy sprawę, przed nami cała długa noc; przegadasz i prześpisz — to wszystko.

On: Widzisz, w jakim jestem stanie, zamęczyłbym Cię tej nocy. Nie, nie, chcę mordować, ale nie jestem podły...

Ja: Mam pomysł. Zaproś mnie do swego domu. Przedstawisz mnie swojej małżonce, porozmawiamy razem...

On: Przedstawić Cię tej, którą w twojej obecności zabiję? Abyś był świadkiem zbrodni, abyś wlókł się miesiącami po sądach? Nie, powiedziałem już, że zabiję, ale nie jestem podły...

Ja: Co więc zrobić, aby ocalić życie twojej żony?

On: Teraz ja mam pomysł, mam pomysł, ale otwarcie mówiąc nie mam pieniędzy. Otóż niedaleko jest hm... prywatny hotel. Tam mógłbym przenocować i porozmawiać z pewną kobietą o niezwykłej mocy ducha, być może że Ona zdoła powstrzymać mnie od zbrodni. Niestety wszystko rozbija się o nędzne trzysta złotych. Nie mogę tam iść bez trzystu złotych.

Ja: Proszę, oto trzysta złotych.

On: Ocaliłeś życie dwojga ludzi.

Ja: Niewątpliwie i to tak drobną sumą.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Zabili go i uciekł

KRYMINAŁ DOKUMENTEM? — „ZBRODNIA W POŁUDNIE" — ZABAWA WAKACYJNA — META NA STRONIE 155 — „SZÓSTY ZMYSŁ" PORUCZNIKA — ZŁAMAŁ RĘKĘ A UTYKAŁ NĄ NOGĘ?

Ktoś mądry i znający się na rzeczy powiedział kiedyś, że codzienne życie — te wszystkie drobiazgi i rekwizyty naszej rzeczywistości odnaleźć można dopiero w literaturze rozrywkowej, sensacyjnej — czyli w tzw. „kryminałach". W literaturze ambitnej mamy wielkie problemy, ale brak w niej owych drobnych faktów, dzięki którym przyszły badacz będzie mógł poznać zwykłe życie Polaków anno 1970.

Pogląd nieco przewrotny, ale jest w nim przecież ogromnie dużo racji. Spróbowałem pod tym właśnie kątem przeczytać jeden z najnowszych efektów masowej produkcji Jerzego Edigey'a pt. „Zbrodnia w południe". I rzeczywiście. W jakiej książce z ambicjami znajdziemy np. cenę używanego Wartburga, standard życiowy urzędnika i inżyniera, akcję zbierania makulatury organizowaną w szkołach, zasady pracy kiosków „Ruchu" (teczki na atrakcyjne czasopisma!)...

Wbrew pozorom wcale nie pokpiwam. Tak to jest, jeśli spojrzeć na współczesną książkę rozrywkową oczyma czytelnika z roku 2000. Nie jest to także wyrzut pod adresem literatury pierwszorzędnej — być może właśnie ona przetrwa, a „literatura wagonowa" — zaczytana i zapomniana — będzie mogła służyć po latach jedynie badaczom, gwoli ustalenia małych faktów i rekwizytów epoki minionej.

Ale zostawmy te rozważania. Nad nami lato — obojętne, słoneczne czy deszczowe — i literatura rozrywkowa cieszyć się będzie szczególnym wzięciem. Nic też dziwnego, że wydawnictwa właśnie teraz rzuciły na księgarski rynek sporą partię „kryminałów". Zagranicznych i rodzimych. Zagraniczne cieszą się większą popularnością i myślę, że to nie tylko snobizm.

U nas produkcją „kryminałów" zajmuje się dość ograniczona grupa ludzi, o popyt jest wyraźny, więc i tempo pisania rodzi stereotypy — czasem niechlujstwo.

„Zbrodnia w południe" Jerzego Edigey'a, który zapewne w dowodzie osobistym ma zupełnie polsko brzmiące nazwisko — jest tego przykładem. Oczywiście nie chcę odstręczać od tej książki ewentualnego czytelnika a zwłaszcza, że pewno już jej nie ma w księgarniach. Ale proponuję w deszczowy, urlopowy wieczór lub upalne południe małą kryminalną zabawę. Potrzebny jest do niej utwór pana Edigey'a i trochę zdolności logicznego myślenia.

Oto biedny porucznik Widerski męczy się nad zagadką zbrodni. I gdyby nie sprytna studentka medycyny („ma bardzo ładne fiołkowe oczy ze złotymi iskierkami — powiedział porucznik") nie ruszyłby z miejsca w rozwiązaniu zagadki. A swoją drogą znam paru oficerów milicji i żaden z nich nie popełniłby w śledztwie tylu kardynalnych przeoczeń co bohater pana Edigey'a. A przecież, jak pisze autor „Widerski chociaż młody, miał otwartą głowę i tzw. „szósty zmysł".

Ale studentka pomogła — akcja się rozwija, ale tropy prowadzą do nikąd — i w końcu jesteśmy na stronie 155. W naszej kryminalnej zabawie tę stronę książki możemy nazwać metą. W tym miejscu „Zbrodni w południe" przeciętnie uważny czytelnik winien już znać mordercę.

Oczywiście można domyślać się i wcześniej. Choćby na stronach 16 i 17, gdzie autor zbyt natrętnie myli czytelnikom tropy, podsuwając mu inkasentów i listonoszy. Zresztą już na 14 stronie mogą opaść czytelnika wątpliwości czy to w co każe pan Edigey wierzyć milicji odbyło się właśnie tak. Zbyt wiele nielogiczności i psychologicznego nieprawdopodobieństwa. Facet morduje kobietę, a potem przez prawie godzinę z trupem u stóp demoluje mieszkanie...

Nielogiczności jest tu sporo. Pan Edigey bardzo się widać śpieszył z tą „Zbrodnią". Oto historyjka o waluciarzu: „Różnie opowiadał o tym dlaczego utyka na nogę. Podobno kiedyś usiłował sprzedać dwum chłopom złotą dwudziestodolarówkę. Była fałszywa i żeby dobrze dzwoniła, zrobiono ją z porcelany czy też kryształu. Chłopi już wyciągnęli gotówkę, ale temu co trzymał, moneta wypadła z łapy. Na chodniku stukła się w drobny mak. Baran zaczął uciekać, ale klienci go dognali i dali taki wycisk, że aż złamał rękę".

Coś niebywałego! Złamał rękę i dlatego utyka na nogę! Czyli coś z gatunku „zabili go i uciekł".

Niestety, nie ze snobizmu wolimy solidnie i rzetelnie napisane kryminały tłumaczone z obcych języków. Nasi autorzy bardzo się śpieszą i zbyt wiele popełniają książek. A — jak sami twierdzą — pośpiech gubi przestępcę, w pośpiechu zapomina się o drobiazgach, w pośpiechu popełnia się błędy... No i wreszcie przy kolejnym „skoku" czytelnik byłby mądrzejszy. Nie tylko od porucznika z „szóstym zmysłem" ale i od autora.

Mała to pociecha dla czytelników książek rozrywkowych i sensacyjnych, że ta literatura może się stać po latach źródłem dla badaczy naszej codzienności. Zresztą niech sobie będzie źródłem i dokumentem, ale niech będzie także literaturą czytaną z zaciekawieniem, bo taka jest jej funkcja. Zbyt jednak często czyta mu te książki z rozbawieniem.

Na tym odcinku produkcja antyimportowa jakoś nam nie wychodzi. Do zabawy wakacyjnej polecam więc „Zbrodnię w południe" — jeśli jednak ktoś pragnie przy lekturze dreszczyku emocji i napięcia — niech kupi raczej spod lady tradycyjny kryminał niezawodnej Agaty Christie.

JERZY WIDOK

ERETT HALLIDAY

PUŁAPKA

Była mroźna noc londyńska, ulicami West Endu spieszyli spóźnieni przechodnie. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk człowieka.

Niedługo na miejscu znalazła się policja. Mężczyzna leżał na chodniku, krew zalewała mu ubranie.

Dwie godziny później inspektor Bain wszedł do pokoju szpitalnego. Pielęgniarka próbowała go zatrzymać. — Ten człowiek jest umierający, proszę go zostawić w spokoju!

— Muszę wykonać swój obowiązek. Chcę się czegoś dowiedzieć, co mogłoby wyjaśnić sprawę. — Bain przyglądał się rannemu. Mężczyzna był małego wzrostu, ciemny na twarzy. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów.

Drzwi otworzyły się cicho i do pokoju wślizgnął się sierżant Smith. — Nie znaleźliśmy broni ani śladów opon samochodowych — zameldował zwierzchnikowi. — Na błotnistej drodze widać było odciski butów dwóch mężczyzn. Poza tym obok rannego leżał kawałek papieru i różowe piórko z nieznanego ptaka.

Bain rozwinął zabłoconą kartkę, było na niej kilka słów: „Mike Shayne... szukajcie go... okręt odpływa..."

— Shayne! — wykrzyknął inspektor. — To ten prywatny detektyw z Miami na Florydzie. Znam go.

W tym momencie ranny zaczął jęczeć, próbował unieść się, lecz bezwładnie opadł na poduszki. — Nie żyje — stwierdził Smith pochylając się nad rannym.

— Proszę tu zostać — zarządził Bain — Muszę złożyć raport memu zwierzchnikowi.

Komendant Rogers wysłuchał inspektora z grymasem niesmaku. — Słyszałem o tych prywatnych detektywach amerykańskich. Trzeba go tu natychmiast sprowadzić.

I tak oto rudowłosy Mike Shayne pożegnał swych przyjaciół i wsiadł do samolotu, który leciał do Anglii. Na lotnisku oczekiwał go inspektor Bain. W samochodzie opowiedział detektywowi o zbrodni.

Shayne zobaczywszy zwłoki wykrzyknął: — Ależ ja go znam! To jest Peter Pinto, lekarz, mogę dodać — kryminalista. Był zamieszany w sprawę Osceola, lecz zniknął, nim policja zdążyła mu odebrać zezwolenie na praktykę.

— Jaką miał specjalność?

— Chirurgia plastyczna, wykonywał niedozwolone zabiegi.

— Czy mógłby pan coś powiedzieć na temat różowego piórka?

— Owszem, należy do flaminga, jest to ptak bardzo znany na Florydzie.

— Jak pan sądzi, dlaczego Pinto napisał pańskie nazwisko?

— Sam sobie zadaję to pytanie. Nie widziałem go od dwóch lat. Czy stwierdzono w jaki sposób Pinto znalazł się w tej dzielnicy?

— Tej nocy padało, lecz jego ubranie nie było zbyt przemoczone. Nie wykryto także śladów samochodu, prawdopodobnie przybył pieszo z jakiegoś pobliskiego miejsca. Przeszukaliśmy okolicę, ale nikt nic nie widział.

— Dziwne — zamyślił się Shayne.

— Trzeba znać tę okolicę. Mieszkają tu złodzieje, oszuści, prostytutki. Osoby, które nie pytają i nie odpowiadają na pytania.

— Zobaczę, co będę mógł zrobić w tej sprawie. Będę się z panem porozumiewał.

Mike opuścił biuro i udał się w kierunku Shepherd Market. Chodniki były śliskie, z gęstej mgły wyłaniały się cienie i nagle znikały. Mike odnalazł miejsce, w którym popełniono zbrodnię. Chodził powoli, przyglądał się bocznym uliczkom. Po jakimś czasie upewnił się, że ktoś go śledzi. Postanowił zmierzyć się z nieznanym tropicielem, odwrócił się szybko i pobiegł w jego kierunku. Rozległ się strzał. Detektyw rzucił się na bruk, lecz upadł nieszczęśliwie uderzając głową o brzeg chodnika i zemdlał.

Gdy się ocknął stwierdził, że znajduje się w jakimś jasno oświetlonym lokalu i leży na ławie pod ścianą. Pochylały się nad nim twarze nieznanych ludzi — dwóch mężczyzn i kobiety.

— Ma pan twardą głowę — stwierdził typ o wyglądzie marynarza.

— Jak wszyscy policjanci — uzupełnił drugi, kolos o łysej czaszce. — Chciałbym wiedzieć co tu robi w naszej okolicy amerykański platfus.

— Widzę, że wszystko o mnie wiecie — zdziwił się Shayne.

— Przetrząsnęliśmy kieszenie pańskiego ubrania — wyjaśniła kobieta. — Co się panu stało?

— Ktoś do mnie strzelił i upadłem na ziemię.

Shayne rozejrzał się wokoło i stwierdził, że znajduje się w jakimś barze, wśród podejrzanych typów. Popijali piwo śledząc go z zainteresowaniem. Zbadał zawartość swej kieszeni niczego nie brakowało.

— Czy mogę was poczęstować koniakiem? — zapytał.

— Świetnie! — ucieszyła się kobieta. — Hallo, Tom, przynieś nam cztery koniaki!

— Co pan tu robi w naszych stronach? — wtrącił marynarz.

Shayne wyjął z portfela fotografię zamordowanego Pinto. — Badam sprawę tego człowieka — wyjaśnił.

Reakcja trzech osób była szybka i niespodziewana. Kolos wstał i poszedł do lady. Kobieta spojrzała podejrzliwie na Mike'a i rzekła twardym głosem: — Traci pan czas na próżno, nikt go tu nie zna! — To mówiąc odeszła do innego stolika, gdzie zamieniła kilka słów z jakimś typem, który zaczął się przyglądać Amerykaninowi. Tylko marynarz pozostał na miejscu.

— Dlaczego pan go szuka? — zapytał.

— Był moim przyjacielem. Chciałbym wykryć, kto go zamordował.

— Rozumiem. Ile pan zapłaci za informację?

— Dziesięć szterlingów.

— Dobrze, ale nie tutaj. Proszę na mnie zaczekać w barze Wellington Head. Przyjdę tam za dziesięć minut.

Rudowłosy detektyw wyszedł z lokalu. Odnalazł bar, usiadł w kącie pustej sali. Po kilkunastu minutach zjawił się marynarz.

— Policja dokładnie zlustrowała naszą dzielnicę, przepytywała wiele osób — rzekł. — Ja nie odpowiadam policjantom, ale pan mi się podoba, mogę z panem porozmawiać.

— Doskonale. Czy pan znał Petera Pinto?

— Doktora? Tak, lecz on i jego przyjaciele nie podobali mi się. Przychodziło ich wielu do niego. Byli dziwni, starali się zachować wielką ostrożność przed wejściem do jego laboratorium. Podobnie przy wychodzeniu.

— To zrozumiałe. W Stanach Zjednoczonych doktór Pinto nie miał już zezwolenia na praktykę — rzekł detektyw.

— Jednak nie przejmował się tym, aż do chwili, gdy pojawiły się te typy. Przed tygodniem jakiś czarny samochód zatrzymał się przed jego domem, wysiedli z niego jacyś mężczyźni. Od tego czasu Pinto zrobił się niespokojny, jakby obawiał się śmierci.

— Czy pan by ich poznał?

— Nie, gdyż zwiałem, aby mnie nie zauważyli. Auto było amerykańskie.

— No i co jeszcze? Niewiele się dowiedziałem za te dziesięć szterlingów.

Marynarz wstał, podszedł do drzwi, uniósł zasłonę i zajrzał do baru. Zadowolony z kontroli wrócił do stolika i usiadł obok detektywa.

— Samochód — rzekł cicho — należy do Mendaresa. Niech się pan zapyta Scotland Yardu kto to jest, znają go tam dobrze.

— Zrobię to. A teraz?

— Pokażę panu jeszcze gdzie mieszkał Pinto i gdzie przyjmował klientów.

— Dobra myśl, chodźmy!

Marynarz wyszedł pierwszy. Minął miejsce, na którym doktór został zamordowany, skręcił w słabo oświetloną uliczkę i zatrzymał się na rogu przecznicy.

— To tutaj.

— Ależ to wygląda jak opuszczony magazyn.

— Był tu sklep z węglem, lecz w głębi znajdzie pan ukryte drzwi prowadzące do laboratorium. A teraz chciałbym już odejść.

Mike wyjął z kieszeni dwadzieścia pięć dolarów i podał je marynarzowi. — Nie mam pieniędzy angielskich, ale chyba to obojętne.

— W porządku, dziękuję panu. — Schował pieniądze i znikł we mgle.

Shayne wyjął pistolet i zaczął badać teren. Odnalazł drzwi, wszedł do lokalu i przekręcił kontakt elektryczny. Obszerny pokój był i salonem i jednocześnie gabinetem lekarskim. Znajdowały się tam nosze, oszklona szafa pełna flakonów i metalowych narzędzi, sterylizator, stół, fotele, kanapa. Mike posuwał się ostrożnie, badał uważnie każdy przedmiot. Kiedy znalazł się za biurkiem, stanął jak wryty.

Na podłodze leżał na wznak mężczyzna z nożem wbitym w serce.

Dalszy ciąg nastąpi

Fot. J. Soeldner

Lewym okiem

DELIRYCZNE PAPUŻKI

Autor wielu celnych, paradoksalnych „powiedzonek" i złotych myśli, Oskar Wilde, powiedział kiedyś, że „są cuda, których mimo ukochania piękna nie można wyłącznie podziwiać." Angielski pisarz miał przy tym na myśli piękno ciała kobiecego, wobec którego kontemplacja czysto estetyczna jest chyba niemożliwa; towarzyszą jej pragnienia wielorakie, nie wyłączając całkiem zaborczych i zgoła niszczycielskich.

Ale zacznijmy od bajek, opowiadanych kiedyś przez mityczne nianie, które również przeszły już w sferę baśni czarownych. Co w owych bajkach było czarownego? A to dwoje nieletnich smażyło w piecu żywcem starą kobietę, podejrzaną o wróżenie z kart i o zbieranie trujących ziół przy księżycu; a to piękna pani poniewierała dziewczynkę z pierwszego małżeństwa swego męża i zabroniwszy jej pójść na prywatkę kazała gotować obiad; a to wilk połykał ma łostrawną babunię i jeszcze straszył niewinne dzieci; to znów na pewnego recydywistę, Madeja, przygotowywano niesłychane narzędzia tortur, rozpalając wyobraźnię dziatek, na czym cierpiały później z rąk owych dziatek muchy, koty i chrabąszcze. Co stronica to śmierć, gwałt, tortury. Spij, malutki, czarownica już się przy rumienia...

To były bajki klasyczne, tkwiące korzeniami w anonimowych przekazach ludowych, gdzie jeszcze więcej roiło się zawsze potworów, rzezi, upiorów, krwi — i to pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Próbowaliśmy coś zmienić. Do zmyślania nowych, już nie ludowych bajek zabrali się poeci i pisarze świetnej rangi. W fantastycznych utworach dla dzieci z ostatniego półwiecza, pióra Rodariego, Tolkiena, Loftinga, Carrola, u nas — Tuwima, Januszewskiej, Brzechwy — inna już całkiem atmosfera, pełno słońca, dowcipu, fantazji i koloru. Niezależnie od tych prób stwierdzić trzeba, że w dawnych bajdach takie czy inne ciosy ponosił zawsze zły rozbójnik, wredna megiera, złośliwy zwierzak. Była w tym jakaś strywializowana tęsknota za sprawiedliwym odwetem. Natomiast — kiedy na męczarnie wystawia się same śliczności, samą cnotę, sam wzorzec urody ludzkiej — to można chyba mówić o kokietowaniu mało ponętnej cząsteczki wyobraźni ludzkiej, tej właśnie cząsteczki, która nie pozwala „wyłącznie podziwiać", która ma ochotę uszczypnąć, dokuczyć, uszkodzić. Powiększyć tę sprawkę do skali trochę wyższej — mamy czystej krwi, bezinteresowny, plugawy, patologiczny sadyzm.

Piszę to wszystko po obejrzeniu filmu „Barbarella", który jest właśnie bajką, choć nie można się zdecydować, czy dla dzieci, czy dla dorosłych. Oparto go na komiksach francuskich, które, jak czytałem, pomyślane były jako parodia komiksów amerykańskich. Film jest więc parodią parodii. Głupstwo parodiuje się z pozycji rozsądku. Parodia takiej parodii jest więc chyba naigrawaniem się z rozsądku, nie — z głupstwa.

Film nie jest dla dorosłych, bo mimo nagości na funty, mimo wulgarnego rozkładania się Jane Fonda i nawet mimo maszyny, torturującej rozkoszą, jest po prostu głupi i nudny, nie pikantny, nie podniecający. Może dla niektórych dorosłych przeznaczone jest tylko to nieustanne podkłuwanie nagiej piękności, te strumyki czerwoniutkiej krwi, te deliryczne papużki do wydziobywania oczu. Nie ma w tym nic z grozy, to przecież komedia; jest tylko chęć dania widzowi zastępczej satysfakcji sadystycznej.

Więc może bajka dla dzieci? Dla dzieci w ogóle nie ma tu nic. Kosmonautyka, żonglowanie nic nie znaczącymi, a mającymi pozór „przyszłości" słowami, stroje — czy raczej brak strojów? Inne planety? Nie. Kłębowisko nagusów, dokuczających sobie wzajemnie z robaczą złośliwością, chociaż przy użyciu różnych dźwigni, przycisków, guzików i maszyn. Po co komu taki film? Żeby robił kasę? Nie robi kasy. Jednak ludzie u nas mają trochę smaku. To jedno mi się z całego seansu filmowego podobało na prawdę.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1286. H-10.